2-gi nakład po konfiskacie

Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK VII NR. 2 (122) MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA STYCZEŃ 1938 R. CENA 50 GR.

Wojna polsko-żydowska

List Wilhelma Rippla

Przed paru miesiącami tygodnik „Merkuryusz Polski" wydrukował sensacyjny dokument: list otwarty Wilhelma Rippla, przywódcy Ruchu Młodożydowskiego, do żydowskich bankierów, kapitalistów i rekinów prasowych. Tezy tego listu były następujące: Żydzi są narodem chorym i nieszczęśliwym, noszącym przyczynę swych cierpień w samym sobie. Tylko powrót do ziemi ojczystej, Palestyny, może odrodzić i uzdrowić żydostwo międzynarodowe, uwikłane w diasporze. Masowy exodus Żydów z Polski i innych krajów, walka orężna o odzyskanie Ziemi Obiecanej, oto dogmaty ideowe młodzieży i „ulicy" żydowskiej. Przeszkodą w osiągnięciu tych celów jest międzynarodowa finansjera żydowska i jej zakonspirowani przywódcy, którym potrzebne jest rozproszenie Żydów, bo kolonie żydowskie w diasporze są narzędziem światowego imperializmu izraelskiego, dążącego do zawładnięcia narodami goimów. Dla tej mistycznej i złowrogiej fikcji, żyjącej w mózgach nielicznych dyktatorów ghetta, naród żydowski cierpi odwieczne męki, a gdy się skarży i buntuje, powiada mu się, że Bóg tak chce i że to jest kara za jego grzechy, a zarazem proces oczyszczenia. Ten szantaż ideologiczny nie może trwać dłużej. Naród żydowski musi zerwać więzy szaleńczej i cynicznej dyktatury, musi zniszczyć swych przywódców-ciemiężycieli. Wtedy przestanie być pariasem między narodami i wrogiem ludzkości, wytykanym palcami i prześladowanym. Zacznie żyć pełną piersią, zdrowo i normalnie, jak inni, na własnej ziemi i z pracy własnych rąk, a nie z wyzysku i pasożytnictwa.

Taka mniej więcej jest treść tego listu-odezwy. Autor kończy go groźbami pod adresem owych bogaczy żydowskich i zapowiada bezwzględną walkę o realizację swych idej. Lektura tego dokumentu, fascynującego brawurą stylu i fanatyzmem, wywiera wrażenie silne, można rzec: wstrząsające. Po przeczytaniu jego pozostajemy jednak w niepewności: czy przemawia do nas nowy Mojżesz, prorok odradzającego się żydostwa, czy po prostu wódz specyficznego odłamu faszystów żydowskich, czy może nawet szaleńczy fanatyk lub szarlatan ideowy. Jedno tylko powstaje w nas niezachwiane przeświadczenie: kimkolwiek byłby sam ów Wilhelm Rippel, koncepcja jego jest genialnie prosta i arcysłuszna, tak dalece, że poza nią nie ma innej drogi do rozwiązania kwestii żydowskiej.

Osoba adwokata W. Rippla znana jest opinii polskiej, on to bowiem organizował ów marsz tysiąca młodych Żydów do Palestyny, rozproszony przez policję za rogatkami Warszawy. Niejeden z nas łamał sobie wtedy głowę, po kiego diaska polskie władze bezpieczeństwa powstrzymały wówczas ów pierwszy masowy i dobrowolny exodus Żydów z naszego kraju. I już wtedy dziwiliśmy się, dlaczego prasa polska — zamiast przyklasnąć akcji W. Rippla — powitała ów pęd emigracyjny młodożydów kpinami i szyderstwem. Sądziliśmy, że winna temu notoryczna głupota tej prasy. J. Babiński, red. „Merkuryusza", dał nam głębsze wyjaśnienie tej zagadki. W tym samym n-rze pisma, w którym znajduje się list mec. Rippla, postawił on tezę, że — wbrew hałaśliwej nagonce prasy nacjonalistycznej i deklaracjom min. Becka w Genewie — nikt w Polsce nie chce naprawdę emigracji Żydów. Wyraził on też przypuszczenie, że prasa polska, w rozczulającej zgodzie z prasą żydowską, przemilczy jednogłośnie wystąpienie W. Rippla, jako że wpływy rzeczonego „mocarstwa anonimowego" są za kulisami naszej prasy jeszcze zbyt silne.

Byliśmy niezmiernie ciekawi, czy przewidywanie to okaże się trafne. Sprawdziło się co do joty. Żadne z pism żydowskich i polskich (dosłownie żadne!) nie puściło pary z ust. Wołanie Żyda-ideowca o masową emigrację Żydów z Polski zostało „głosem wołającego na puszczy". Ponieważ zaś my sami sądzimy, podobnie, jak „Merkuryusz", że exodus Żydów z Polski byłby pożądany zarówno dla Polaków jak dla Żydów, powracamy do tej sprawy, próbując ją rozpatrzyć w nieco rozleglejszym aspekcie

Zacznijmy od wątpliwości

Wiemy, że ryzykancki pomysł Wilhelma Rippla nasuwa mnóstwo wątpliwości i zastrzeżeń. Przede wszystkim prymitywny antysemityzm może w nim wietrzyć jakąś „podrywkę“. My sami, choć nie prymitywni i nie antysemici, przyglądaliśmy się mu ze wszystkich stron, dopóki nie doszliśmy do przekonania że trzeba go brać prosto z mostu i że o żadnej „kombinacji politycznej wyższego rzędu“ nie może tu być mowy. Dalsza wątpliwość: międzynarodowa finansjera żydowska jest taką potęgą, że p. Rippel i jego Ruch Młodożydowski może być przez nią zdmuchnięty bez trudu. Następnie: gdyby nawet ruchowi temu udało się przezwyciężyć przeszkody, stawiane przez tamte czynniki i ich polskich jurgieltników, to marsz tysięcy Żydów przez ziemie Polski, Rumunii, Bułgarii, Turcji — do Palestyny musiałby napotkać na ogromne trudności natury politycznej i wywołać komplikacje międzynarodowe. Ten i ów mógłby też powiedzieć, — że masowy exodus Żydów z Polski mógłby zwichnąć strukturę naszego życia gospodarczego, — albo też, że zmniejszyłby on płaszczyznę tarcia między obu narodami, zaś walka „na noże“ jest nam w obecnym momencie dziejowym potrzebna, dla mobilizacji uczuć zbiorowych i egzaltacji patriotycznej.

Na wszystkie te argumenty nie będziemy odpowiadać, choć są one łatwe do odparcia. Wystarczy nam stwierdzić, że każdy problem rozwiązuje się łatwiej od wewnątrz niż od zewnątrz i że sprawiedliwość dziejowa wymaga, by Żydzi sami uzdrowili patologiczne zwyrodnienia swego organizmu narodowego. Dodamy też, że każdy ruch najpierw był mały, a potem dopiero rósł w siłę i znaczenie; jeżeli zaś miał on wielką ideę i dynamizm wewnętrzny, to żadne potencje finansowe i międzynarodówki nie mogły mu w rozwoju przeszkodzić. Nie idzie nam tu zresztą o praktyczne możliwości urzeczywistnienia planów W. Rippla, lecz o teoretyczne, filozoficzne tło tego zagadnienia.

Pod czwartym zaborem

Okupację duchową i materialną Polski przez żydostwo zwą nasi nacjonaliści „czwartym zaborem“. Miano arcysłuszne, z dodatkowym komentarzem, że ten czwarty był i gruntowniejszy i niebezpieczniejszy, niż wszystkie trzy pozostałe, razem wzięte. Wpływy niewidzialne przesączają się łatwiej i przenikają głębiej od widomych, a działanie ich jest powszechniejsze. Żydzi opanowywali Polskę w czapce niewidce, odwracając umiejętnie uwagę narodu podbijanego od swych zdobyczy i sukcesów. Rządy zaborcze poruszały się na powierzchni życia polskiego, nietrudno też było usunąć i zlikwidować ślady ich ekspansji na naszym terenie. Żydzi usadawiali się w rdzeniu tego życia, znieczulali jego ośrodki nerwowe zręcznymi iniekcjami, jak pająk obezwładniający muchę. Wdrążyli się w najgłębszy układ strukturalny naszego organizmu gospodarczego, wzięli w pacht siły kulturotwórcze narodu, uzależniając i asymilując życie duchowe Polski. (Uwaga: nigdy nie istniało w Polsce to, co zwiemy asymilacją Żydów, odbywała się natomiast na ogromną skalę asymilacja Polski przez Żydów, której skutki uwydatniły się ze szczególną jaskrawością w Polsce odrodzonej!). Paraliżując i osłabiając tętno religijno-moralne żywiołu polskiego, uzyskiwali żydzi jednocześnie coraz większy wpływ na życie polityczne, krzyżując różnymi manewrami wysiłki niepodległościowe i pracę odrodzeńczą Polski ujarzmionej, a wywalczając sobie coraz większe przywileje. Za pośrednictwem lóż masońskich, operujących za kulisami wszystkich niemal polskich ugrupowań i stronnictw politycznych, Żydzi dzierżyli mocno w swych rękach pałeczkę dyrygenta. Cały ten bagaż odziedziczyliśmy po naszych ojcach i dziadach z chwilą odzyskania niepodległości.

70 proc. majątku narodowego Polski znajduje się na pewno w rękach żywiołu żydowskiego. Proporcjonalny do tego jest wpływ Żydów na nasze życie polityczne i supremacja ich w naszej kulturze i wychowaniu. Walka z tym fatalnym zaborem jest niesłychanie trudna . Odbudowa suwerenności państwowej wymagała pewnej dozy ryzykanctwa i ofiarności garstki Polaków, plus koniunktura międzynarodowa. Wyzwolenie z pod okupacji żydowskiej nie da się uskutecznić bez solidarnych wysileń milionowych mas. Odrodzenie moralne i intelektualne, wszechstronna inicjatywa na polu ekonomicznym, zgodne współdziałanie rządu i społeczeństwa, mądre ustawy — oto warunki tej regeneracji. Przezwyciężenie okupacji kulturalnej i gospodarczej jest zawsze trudniejsze, niż strącenie jarzma politycznego.

Nacjonaliści nasi wskazywać będą na przykład Niemiec i Rumunii. Ale problem żydowski jest u nas bardziej skomplikowany, niż tam. W Polsce żydostwo będzie walczyć zacieklej, niż gdzieindziej , bo tu jest ich super-ghetto, źródło biologiczne i baza poczucia narodowo - religijnego. Trzeba tu jeszcze brać pod uwagę wyjątkowe położenie geograficzne Polski, z którego Żydzi zdają sobie dobrze sprawę. Rozwiązanie sprawy żydowskiej w każdym innym kraju będzie miało zawsze znaczenie lokalne, natomiast rozwiązanie jej w Polsce będzie dla żydostwa niebywałym wstrząsem dziejowym i odbije się w sposób decydujący na jego sytuacji międzynarodowej. A jeśli kwestia żydowska w Polsce ma charakter uniwersalny, urastając wprost do kosmicznych wymiarów, to i środki użyte przez nas muszą być uniwersalne, przystosowane do historiozoficznej i metafizycznej wagi samegoż zagadnienia.

Aspekt moralny kwestii żydowskiej

Humanitaryści i demoliberali wiadomego autoramentu oburzają się na każdego, kto — w jakiejkolwiek formie — wysunie na forum publiczne kwestię żydowską. Dla nich Żydzi są nietykalni, są tabu historycznym, nadnarodem, nadrasą. Wolno ostatecznie bić wszystkich innych, byle nie Żydów, bo każdy cios, czy zarzut słowny, wymierzony w Żyda, godzi rzekomo w samo człowieczeństwo. Już to Żydzi umieli się uczepić największych haseł i utożsamić ich autorytet z interesem żydostwa. Postęp, wolność, godność, człowieczeństwo, to wszystko — w języku panegoizmu i megalomanii semickiej — oznaczać ma zawsze jedno i to samo: Nie tykaj Żydów!

Nie dajmy się na to nabrać i zapytajmy spokojnie, jak się przedstawia problem walki z żydostwem z moralnego punktu widzenia. Otóż, trzeba to stwierdzić na wstępie, przemoc fizyczna (pałka, bicie szyb,

obcinanie bród itp.) nie tylko nie rozwiąże kwestii żydowskiej, lecz jest w jaskrawej niezgodzie z etyką katolicką i wyrządza krzywdy moralne temu, który ją stosuje, Trzeba jednakowoż dodać, dla sprawiedliwości, że: a) charakter i postępowanie Żydów budzi w społeczeństwach eksploatowanych tak gwałtowny resentyment, że nie można się dziwić w wielu wypadkach nerwowym i brutalnym odruchom elementów nieumiarkowanych, b) Żydzi sami rozpowszechnili — za pośrednictwem masonerii, bolszewizmu itp. — te metody terroru i bestialskiej bezwzględności w walce politycznej, których ofiarą padają niekiedy sami.

Jeżeli jednak przemoc fizyczna i wszelki odruchowy samosąd społeczny zasługują na potępienie, to istnieje cały szereg środków walki godziwych i moralnie usprawiedliwionych jak: bojkot gospodarczy, ściganie nadużyć żydowskich w skali masowej, ograniczanie przywilejów ludności żydowskiej, dających jej lepsze szanse w walce ekonomicznej i w ekspansji społeczno - politycznej, ochrona ustawowa ludności rdzennej przed niesumienną konkurencją elementu żydowskiego, nie przyjmowanie Żydów na wyższe stanowiska w administracji publicznej, zwłaszcza tam, gdzie mogą wpaść w ich ręce tajemnice wojskowe, państwowe itp., wreszcie nawet ustawy wyjątkowe, w wypadkach, gdzie są one moralnie i prawnie uzasadnione.

Racja moralna takich ustaw jest następująca:

1) naród ma prawo i obowiązek rządzić się sam, tj. kształtować, niezależnie od obcych wpływów, swe losy historyczne, gdyż tylko wówczas może on wypełnić w czystości swe posłannictwo, niezbędne w planie moralnym dziejów;

2) naród ma prawo i obowiązek bronić swej duszy zbiorowej przed rozkładem etycznym, spłyceniem umysłowym i destrukcyjnymi ideami polityczno - socjalnymi (w tej dziedzinie liberalizm nie tylko jest absurdem, lecz i ciężkim grzechem, za który naród odpowiadać będzie przed Bogiem i historią);

3) naród, chcąc żyć na poziomie swych możliwości i zadań, musi być pełnofunkcyjnym gospodarczo i kulturalnie, a tym samym wypierać, w miarę sił, te elementy obce, które go usiłują w tych funkcjach wyręczyć, gdyż to paraliżuje rozwój jego własnych sił twórczych i burzy równowagę jego osobowości;

4) naród o etyce i systemie prawno - obyczajowym *wyższym,* nie może być inspirowany i uzależniany przez naród o etyce i obyczajowości *niższej* (tak np. Żyd nie może być sędzią w społeczeństwie chrześcijańskim, bo wyznawca Talmudu nie może zrozumieć i stosować trafnie w swych orzeczeniach prawa moralnego Chrystusa).

Żydzi a misja dziejowa Polski

Prócz racyj przytoczonych powyżej, istnieją jeszcze racje wyższego rzędu, dopuszczające, a nawet nakazujące narodowi polskiemu walkę bezwzględną z panowaniem ducha żydowskiego w naszym życiu publicznym. Mianowicie:

1) Żydzi tłumią i niszczą świadomie rdzenne pierwiastki i ideały kulturotwórcze polskiego żywiołu etnicznego;

2) Żydzi przeszkadzają Polsce w wypełnieniu jej misji dziejowej, opóźniając wszelkimi środkami przebudzenie jej świadomości posłanniczej.

Olbrzymią wagę tych racyj doceni ten, kto rozumie, jak wielkie są przeznaczenia narodów w historii i jak dalece samo istnienie narodu wiąże się z jego misją dziejową. Posłannictwo to myśl Boża, tkwiąca, jak w ziarnie, w samym rdzeniu duszy zbiorowej narodu. Naród bez posłannictwa, to ciało bez duszy, martwy automat. Narody powstały i istnieją tylko poto, by wypełnić swe posłannictwa. Na przęsłach posłannictw narodowych zawiesza swoje sklepienie kościół historii. Zniszczenie jednego z tych przęseł spowodowałoby zawalenie się gmachu w ruinę. Toteż największą zbrodnią jest zabijanie zarodzi rdzennej posłannictwa narodowego i usypianie świadomości posłanniczej w narodzie, który już ją w sobie rozwinął. Żydzi dopuszczają się tej zbrodni, kosmopolityzując sztucznie nasze oblicze duchowe (w sztuce, prasie, literaturze, wychowaniu) i przemilczając lub dyskredytując idee, zawarte w polskiej filozofii i poezji mesjanicznej.

Konkluzja stąd tylko jedna: Żydzi powinni wyjść z Polski. Mogliby oni pozostać wśród nas pod następującymi warunkami: a) jeśli sami odrodzą się duchowo, przez jakąś wielką wewnętrzną rewolucję duchową, b) jeśli uznają dziejową misję Polski, pomagając do jej wypełnienia, lub przynajmniej zachowując się względem niej neutralnie. Lecz czy to możliwe? W zagadnieniu tym tkwi dramatyczny dylemat: Jeden człon tego dylematu oznacza NIE, bo Żydzi są narodem upadłym i sami nie mogą się z tego stanu podźwignąć (nie widzą nawet swej nędzy du-

---

Oświadczenie prasy polskiej w sprawie ZNP

1. Usunięty w październiku ubiegłego roku zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego prowadził Związek w kierunku, niezgodnym z interesami Narodu i Państwa Polskiego, narzucając rzeszom nauczycielskim, a przez to i wychowywanej przez nie młodzieży, obce im tendencje komunistyczne, co stwierdzone zostało oficjalnie w znanych oświadczeniach p. premiera Składkowskiego.

2. Stan obecny Związku Nauczycielstwa Polskiego powraca w zatrważającą szybkim tempie do stanu sprzed października ubiegłego roku. Grupa, prowadząca przedtem na terenie Związku działalność według instrukcyj Kominternu, dochodzi znów w pełni do głosu, wznawiając swą antypaństwową politykę.

3. Niżej podpisane pisma stwierdzają, że stan ten zagraża najbardziej żywotnym interesom Narodu i Państwa Polskiego, w pierwszym rzędzie szerokich rzesz nauczycielskich, i wzywają całe społeczeństwo do bezwzględnej walki z akcją Fołksfrontu w wychowaniu polskim.

Dziennik Poznański, Głos Narodu, Słowo, Wieczór Warszawski, Falanga, Kronika Polski i Świata, Merkuryusz Polski, Młoda Polska, Myśl Polska, Polityka, Prosto z Mostu, Pro Christo, Przegląd Katolicki, Zet.

chowej), zaś ich obecna, fałszywa misja dziejowa pozostaje w diametralnej sprzeczności z posłannictwem Polski. Drugi człon oznacza TAK, bo mogą oni odrodzić się przy pomocy Polski i mesjanizm nasz może wyzwolić ich z pod jarzma fałszywej idei, której od wieków służą.

Naród żydowski nosi piekło w samym sobie

Pierwszym krokiem do tego wyzwolenia byłoby dla Żydów zrozumienie, że piekło nieszczęść, tułactwa i prześladowań, za które przeklinają oni niesłusznie inne narody, jest ich własnym wytworem, ich własnym dziełem (ślad tego zrozumienia znajdujemy — o dziwo! — w wyżej wspomnianym liście otwartym W. Rippla). Oni to są inspiratorami tej burzy dziejowej, jaka dziś zaczyna rozmiatać ich samych („kto wiatr sieje, burzę zbiera"), oni to czynią ustawiczny zamach na postęp dziejowy ludzkości, usiłując „odmienić czasy i prawa", przez co ściągają na siebie gniew i represje narodów. I niema straszniejszej omyłki, jak mniemanie Żydów, że prześladują ich za wyższość ich ideałów humanitarnych i za ich wyjątkowe uzdolnienia, pozwalające im wszędzie wybijać się na czoło. Narody inne nienawidzą Żydów i walczą z nimi dlatego, bo wyczuwają w nich trafnym instynktem świadomego wroga ludzkości, spiskującego przeciwko wszystkim formom historycznym i kulturalnym jej bytowania i usiłującego podstępnie i gwałtem zawładnąć nią i uczynić ją bezwolnym przedmiotem okrutnej eksploatacji.

Czy to możliwe — zapyta ktoś—by naród żydowski, sam jeden w dziejach świata zajmował tak ekscentryczną, odosobnioną pozycję? Gdzie przyczyna tego monstrualnego stanu rzeczy? — Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania.

Żydzi byli naprawdę narodem „wybranym" tj. powołanym do wielkich i wyjątkowych przeznaczeń historycznych (tak uczy nas religia katolicka i jest to zgodne z racjonalną analizą dziejów tego narodu). Ich misją było objawienie światu idei jedynego Boga, Absolutu, Tego, który jest przez się („Jestem, który jestem") i objawienie tajemniczego misterium upadku moralnego pierwszych ludzi, tj. fundamentalnego faktu dziejów naszego gatunku, w relacji do którego pozostaje odtąd nieodmiennie cały rozwój i postęp historyczny ludzkości. Wśród Żydów narodził się Chrystus, Bóg - Człowiek, który przyniósł nam odkupienie od tego pierworodnego grzechu i objawił nam drogę zbawienia.

Tu jest punkt zwrotny w losach narodu żydowskiego. Żydzi nie poszli wskazaną im drogą zbawienia, nie chcieli pójść naprzód przez odrodzenie duchowe do „raju niebieskiego", choć był to jedyny sposób podźwignięcia i wyzwolenia człowieka ze stanu upadku moralnego. Idei transcendentnej Królestwa Bożego przeciwstawili oni ideę materialną, powrotu do „raju ziemskiego". Stanęli tak w opozycji do całego planu Bożego historii i utracili swe posłannictwo nadprzyrodzone.

Nie uznawszy bowiem Mesjasza, zjawionego wśród nich ciałem, utracili oni swą religię, otrzymaną od Boga i swój mesjanizm, tj. intuicję celów ostatecznych ludzkości. Odtąd miejsce Starego Zakonu, religii objawionej i pozytywnej, zajął w żydostwie Talmud, sekciarska, pseudoreligijna doktryna, oparta o systemy mistyczne, wylęgłe w jaskiniach tajnych związków, a powstałe z pomieszania pojęć filozofii Wschodu z pojęciami faryzejskimi, saducejskimi i innych herezyj żydowskich (Kabała, w szczególności Zohar i Sefer Jecyrach, oraz filozofia talmudyczna, w szczególności Miszna i Gemarah). Oczekiwanie Mesjasza przybrało, w następstwie tego, postać nową i paradoksalną, a jednak nieuchronną: zamieniło się w oczekiwanie Antychrysta.

Żydzi oczekują Antychrysta

Straszna ta prawda będzie napewno porażająca dla wielu rzetelniej myślących Żydów, a masy nabożnych chasydów odrzuciłyby ją ze wstrętem i zdumieniem. A jednak jest to fakt. Żydom się tylko zdaje, że oczekują oni przyjścia Mesjasza; w istocie oczekują oni przyjścia Antychrysta. Jak to się stać mogło? Kiedy nastąpiło to potworne odwrócenie pojęć, to podstawienie szatana w miejsce istoty boskiej? Dlaczego Żydzi wyznają fałszywą, nie swoją religię i oczekują Antychrysta, zamiast Mesjasza? Jak rozwiązać tę ponurą zagadkę?

Stary Zakon zawierał w sobie prawdę, a przynajmniej jeden aspekt prawdy: był religią Absolutu („Jestem, który jestem"). Nowy Zakon był znowuż rewelacją drugiego aspektu prawdy absolutnej, religią Słowa, czyli nadprzyrodzonego i hyperlogicznego pierwiastka w naturze Boga i człowieka. Na wskroś intelektualistyczny typ umysłowości żydowskiej skłaniał ich do przyjęcia idei Absolutu, jako zasady wszelkiego logizmu i racjonalizmu, nie pozwalał im natomiast zrozumieć idei Słowa, zasady hyperlogicznej i kreacjonistycznej. Gdy Nikodem zapytywał Chrystusa, z dobrą wolą przyjęcia prawd przez Niego objawionych: „Jakoż to może być?" (Quomodo possunt haec fieri?), odpowiedział mu Zbawiciel: „Jeślim wam ziemskie rzeczy powiadał, a nie wierzyliście, jakoż, gdy wam powiem niebieskie, uwierzycie?" (Si terrena dixi vobis, et non credetis, quomodo, si dixi vobis coelestia, creditis?).

Wytłómaczenie to, dlaczego Żydzi musieli odrzucić naukę Chrystusa, zwalnia ich w pewnej mierze z zarzutu bogobójstwa, ale nie zmazuje odpowiedzialności za wszystkie zbrodnie przeciw ludzkości, jakie w następstwie odrzucenia prawdy popełnili. Widzimy też, że Żydzi — nie mogąc pojąć, wskutek struktury swej umysłowości — objawienia Słowa, mieli niejaką podstawę do nieuznania Mesjasza w Chrystusie i do dalszego oczekiwania jego przyjścia. Winni oni natomiast uznać Mesjasza w Chrystusie wówczas, gdy jakaś doktryna filozoficzna wytłómaczy te prawdy nadprzyrodzone na drodze rozumowej (metafizycznej), zamieniając Credo na Cognosco absolutne.

Tak się przedstawia teoretyczna strona tej zagadki. Ale jest jeszcze druga jej strona: praktyczna i historyczna. Gdy Żydzi odrzucili Mesjasza, uległ z konieczności zaciemnieniu w ich oczach właściwy sens ich ksiąg świętych, których celem i koroną był przecież Chrystus. Odsuwając się instynktownie od prawdziwego objawienia, stali się podatni na przenikanie fałszywego objawienia, którym było rzekome tajemne „drugie prawo" Mojżesza, ukryte w pismach ezoterycznych i przekazywane sobie przez sekty i związki tajne, pozostające w kontaktach z całym mistycyzmem orientalnym, drążącym wówczas imperium ro-

manum. Szczyty żydowskiej hierarchii społecznej i kościelnej zostały opanowane przez „wtajemniczonych“. Synhedryn utożsamił się stopniowo z najwyższą lożą związków tajnych i przeredagował ich „wiedzę tajemną“ w duchu herezji żydowskiej. Ponieważ adepci i mistrze wiedzy tajemnej stanowili również element zbuntowany przeciw ludzkości, jej instytucjom i prawom, uważając się za powołanych do kierownictwa światem, łatwą była ich symbioza, a wreszcie asymilacja, z przywódcami żydostwa, zbuntowanymi przeciw nowej nauce, szerzącej się szybko wśród narodów aryjskich. Penetracja była wzajemna: z jednej strony zżydziły się szczyty hierarchii wtajemniczonych, a żydowska Kabała stała się uniwersalną i najwyższą księgą wiedzy tajemnej, z drugiej strony mistycyzm „zgrai piekielnej“, od wieków oczekujący przyjścia Antychrysta, podstawił Żydom, w miejsce idei Mesjasza - Boga, ideę Mesjasza - Demiurga, a wreszcie szatana. Demonizm natury żydowskiej sprzyjał takiemu przewróceniu pojęć. Żydzi opanowali najwyższe szczeble magii i wiedzy tajemnej; wśród czołowych mistagogów, taumaturgów i mistrzów wielkiej tajemnicy, od czasów Templariuszów, aż do masonerii i illuminizmu, spotykamy przede wszystkim Żydów.

Fałszywy „postęp“ i fałszywa „ludzkość“

Idea raju ziemskiego, przeciwstawiona przez Żydów chrześcijańskiej idei Królestwa Bożego, stała się powszechnym drogowskazem dla konfederacji światowej tajnych związków. Przyjęło ją wolnomularstwo, a socjalizm i komunizm przystąpiły do jej praktycznej realizacji, usiłując zburzyć cały dotychczasowy ustrój ludzkości, aby na gruzach wznieść świat nowy. Ustawiczne wrzenie rewolucyjne było następstwem nieuchronnym tego burzycielskiego zamachu, miejsce prawa moralnego zajął gwałt zorganizowany. Historia została wyważona ze swego toru. Od czasu rewolucji francuskiej ludzkość weszła w fatalną epokę upadku i degeneracji. Walka wyznawców Chrystusa z zamaskowanymi czcicielami Antychrysta, przeistoczyła się w wielkie, kosmiczne zmaganie Dobra ze Złem, Prawdy z fałszem.

Historia jest postępowym stwarzaniem świata moralnego, wyższego nad świat fizyczny. Wypowiadając wojnę moralności, strącając ludzkość z powrotem do stanu amoralnego „natury“, czyli do owego „raju ziemskiego“, żydowscy przywódcy związków tajnych stanowią wcielenie najpotworniejszej reakcji, ogłaszanej kłamliwie jako postęp. Tu źródło owego notorycznego fałszu, wniesionego w świat przez Żydów. I stając w pozycji ekscentrycznej przeciwko wszystkim narodom, Żydzi zsolidaryzowali się ze zgrają mistyczną, konspirującą w związkach tajnych przeciw światu, tj. z tymi, których zwie Hoene - Wroński „resztkami starego świata grzechu“; tę zgraję ogłosili oni za prawdziwą ludzkość, a siebie za jej przywódców i opiekunów duchowych. To, co nie ludzkie, wyzute z rozumu i sumienia, z pojęć zła i dobra, windują na szczyty ludzkości, a resztę spychają w dół, aby uczynić z niej pariasów i niewolników. Tu źródło największego zła, o które winić musimy znów Żydów.

Tak więc, w obecnym stanie rzeczy, Żydzi są nosicielami fałszywej idei postępu i fałszywej idei ludzkości, dyskredytując w oczach narodów wszelki postęp i wszelki humanizm, a na siebie ściągając nienawiść i pogardę. Łatwo pojąć, jaka otchłań katastrofy moralnej i ruiny materialnej otwiera się przed nimi. Jedynym ratunkiem jest dla nich zniszczenie międzynarodowej szajki prowodyrów fałszywego mesjanizmu żydowskiego, która tak strasznie oszukała swój naród — i powrót do miejsca, skąd wyszli przed wiekami na ten złowrogi podbój ideowy świata, a więc do Palestyny, gdzie mogą odrodzić się i stać się normalnym, zdrowym narodem, podobnym do innych. Może im pomóc w tej puryfikacji dziejowej mesjanizm polski, który odkrył sens tej demonicznej epopei ludzkości i daje swemu narodowi posłannictwo zdeptania zła i fałszu i wyprowadzenia świata na drogę rzeczywistego postępu. Jeżeli jednak Żydzi nie pójdą po drodze odrodzenia, jeśli pozostaną głusi na nawoływania ludzi, którzy są głosem ich sumienia narodowego, którzy, jak ów W. Rippel intuicją wyczuli, gdzie leży ratunek i zbawienie żydostwa, — wojna nieubłagana między narodem polskim a żydowskim będzie nieunikniona.

Wojna polsko-żydowska

Antynomia między narodem polskim a żydowskim narasta, jak lawina i nic jej już nie zdoła powstrzymać, nawet prosemityzm różnych Zegadłowiczów i Michałowiczów, bo jest to proces, założony a priori w samym rdzeniu dziejów. Na razie walczy się o stragany, jutro będzie się walczyć o imponderabilia moralne i kulturalne. Lecz idzie już czas, kiedy ten konflikt przeniesie się na rozleglejszy teren, tam gdzie od wieków zmaga się Chrystus i Antychryst, zasada twórcza z zasadą destrukcji. Gdy Polska rozpozna i zrozumie swą misję spełnienia chrystianizmu, jaką jej dyktuje narodowa filozofia mesjaniczna, antynomia polsko - żydowska przybierze olbrzymie rozmiary. Polska bowiem jest tą, która „zdepce głowę węża“, która podejmie bój ze złem i fałszem w skali globowej.

Przed Żydami staje dylemat: albo zostaną starci z oblicza ziemi, albo otrząsną się sami z toczącego ich robactwa i wezmą udział — wraz z Polską — we wielkiej walce duchowej o odrodzenie ludzkości i zwrócenie jej ku celom najwyższym, jakimi są i będą po wiek wieków: Bóg i zbawienie dusz.

Paraklet nie przyszedł w dniu Zielonych Świąt...

Odpowiedź ks. dr J. Ciemniewskiemu i inż. G. Henslowi (Część I)

Sojusz teologa z racjonalistą

W „Cent Pages“ na str. 35 pisze Wroński:

„rozum człowieka, który jest spełnieniem nieskończonej wolności stwórczej Boga, manifestuje się progresywnie na trzech stopniach coraz to więcej oczyszczonych i wyżej wzniesionych, jeden ponad drugim. — Na pierwszym stopniu tej manifestacji rozum pojawia się przede wszystkim w uczuciu człowieka, gdzie ustanawia on WIARĘ... Na drugim stopniu swej manifestacji, przejawia się on wyraźnie w poznaniu człowieka, gdzie ustanawia ROZUM DOCZESNY.... Wreszcie na trzecim stopniu swej manifestacji, Rozum zjawia się w całej swej czystości, t. zn. całkowicie wyzwolony z więzów fizycznych organizacji obecnej czyli ziemskiej naszej inteligencji, t. j. naszego ducha, w czystości, która ustanawia definitywnie ROZUM ABSOLUTNY, to prawdziwe spełnienie nieskończonej wolności stwórczej Boga...“

Na pierwszym stopniu rozum popada łatwo w *mistycyzm* (co grozi niestety w większości wypadków duchownym apologetom naszej religii katolickiej), na drugim stopniu kieruje się on prawami logicznymi intelektu, czyli *logizmem*, na trzecim stopniu — wolny już od ograniczeń świadomości uczuciowej i poznawczej — rządzi się on jedynie PRAWEM STWORZENIA, „które Bóg nałożył swej własnej i nieskończonej wolności stwórczej, aby regulować jej czynność i kierować ją ku celowi ostatecznemu kreacji...“, ta dyrektywa nieomylna, jaką daje prawo stworzenia Rozumowi absolutnemu człowieka, ustanawia drogę zasadniczą METODY GENETYCZNEJ..., którą posługuje się doktryna Mesjanizmu...“.

Stanowisko, zajęte przez ks. dr. Ciemniewskiego, w jego polemice z wrońskizmem (patrz art. „Poznanie prawdy objawionej przez Ducha Świętego“, „Zet“ nr 6 - 7), odpowiada określonej powyżej manifestacji wiary, wystrzega się on bowiem wyjścia w czemkolwiek poza jej granice. P. G. Hensel (patrz art. „O rolę rozumu twórczego“ — „Zet“ nr. 8) umieścił się znowu na stanowisku drugim, w sferze rozumu względnego, trzymając się konsekwentnie tezy kantowskiej z „Krytyki czystego rozumu“, że wiedza nasza odnosi się jedynie do immanentu, a więc do danych doświadczenia, poza które — w tym życiu — wznieść się nie może. Nic dziwnego też, że obydwaj Szanowni Autorzy doszli z sobą łatwo do porozumienia (prócz drobnych różnic, nieistotnych dla meritum naszej dyskusji) i przeciwstawili się zgodnie tezie transcendentnej Wrońskiego, zakładającej możliwość przekroczenia przez rozum ludzki granic zakreślonych przez zmysły, czyli przez warunki fizyczne.

Nie jest to niespodzianką dla wrońskisty, który zna zagadnienie t. zw. *antynomii rozumu*, i wie, że aspekty świadomości uczuciowej i poznawczej — choć zasadniczo różnorodne — pokrywają się jednak i sprowadzają do wspólnego mianownika agnostycyzmu, oponując z równą zaciętością przeciwko idei wiedzy stwórczej i rozumowi absolutnemu. Teolog i racjonalista nie uznają nigdy, by prawda absolutna mogła być kiedyś osiągnięta przez rozum człowieka, na ziemi. Przyczyna tej zgodności poglądów leży w tym, że tak teologia, jak i filozofia immanentystyczna odnosi się zawsze do jakiegoś warunku obiektywnego: pierwsza do Pisma Świętego, czyli do *objawienia*, druga do danych świata zmysłowo postrzegalnego, czyli do *doświadczenia*. Tymczasem poznanie, albo raczej wytworzenie prawdy absolutnej uwarunkowane jest zupełną niezależnością i autonomią wiedzy, która ją chce osiągnąć. Filozofia Wrońskiego operuje też w sferze ‚gdzie „nic nie jest dane“, a „wszystko ma być dopiero stworzone“, tylko tam bowiem, w tej dziedzinie achrematycznej, w abstrakcji doskonałej od świata stworzonego, znajduje się *istota wnętrzna absolutu*, jako siła, dająca początek wszystkiemu („Na początku było Słowo...“), a istniejąca sama przez się („Jestem, który jestem...“).

Taka konfrontacja stanowiska filozofii absolutnej ze stanowiskiem teologa i racjonalisty jest bardzo pożyteczna, wykazuje bowiem naocznie *rewelacyjną nowość* idej wrońskizmu. Widzimy, że: 1) może istnieć prawowierny, a jednak wyższy punkt widzenia na treść ukrytą prawd nadprzyrodzonych naszej religii, odmienny od tego, jaki zajmowała dotychczasowa teologia katolicka, 2) racjonalizm Wrońskiego jest całkiem niepodobny do wszystkiego, co zwykliśmy potocznie zwać racjonalizmem, a więc nie podpada zupełnie pod orzeczenia i zastrzeżenia Kościoła, dotyczące możliwości poznawczych rozumu przyrodzonego.

Dodajmy jeszcze, że i ks. Ciemniewski i inż. Hensel idą daleko w ustępstwach na rzecz metafizyki kreacjonistycznej, że znają obaj pisma Wrońskiego, że p. Hensel jest kantystą, a więc reprezentantem systemu wysokiej klasy spekulatywnej, który był dla Wrońskiego punktem wyjścia w jego odkryciach, zaś ks. Ciemniewski zdaje sobie sprawę, z ważności problematu rozumu stwórczego i z roli Ducha Świętego w dziejach, przez wielu teologów niedocenianej — a więc dysputa z nimi powinna być znacznie ułatwiona. A jednak — mimo niewątpliwego maksimum dobrej woli u nas wszystkich i mimo chęci dojścia do porozumienia — natrafiliśmy na taką rafę, czy barierę, odgradzającą mój punkt widzenia od poglądów ks. Ciemniewskiego i inż. Hensla.

Zasadnicze punkty sporne

Czy warto wobec tego kontynuować naszą dysputę? Sam się nad tym zastanawiałem. Zachęciło mnie to, że obydwaj przeciwnicy transcendentyzmu i „parakletyzmu“ Wrońskiego uznają jednak problematy misji Ducha Świętego i możliwości rozwinięcia rozumu absolutnego w człowieku za niezmiernie ważne i aktualne. Istnieje więc furtka do dalszej dyskusji. Gdyby jednak obecne moje argumenty również nie trafiły oponentom do przekonania, lepiej będzie na tym zakończyć, bo chyba nie dogadamy się już do niczego więcej.

Ks. Ciemniewski obstaje przy następujących twierdzeniach fundamentalnych:

a) doskonałe poznanie rozumem Boga i rzeczywistości absolutnej nastąpić może dopiero po śmierci, dzięki „światłu chwały", na którym gruntować się będzie visio beatifica zbawionych w niebie (ten sam mniejwięcej pogląd*) — tylko w terminach metafizyki Kanta i neokantyzmu — wypowiada G. Hensel, którego zdaniem mundus intelligibilis nie może się odsłonić jaźni ludzkiej w granicach życia ziemskiego);

b) zbawieni w niebie pozostaną nadal tylko „stworzeniem", a więc byt ich nie będzie przez się, na mocy własnej samorzutności stwórczej, lecz w oparciu o łaskę, heterotezję Bożą (nie wiem, czy G. Hensel sądzi tak samo, nie wypowiedział się bowiem co do tego wyraźnie).

W następstwie pierwszego twierdzenia, negującego możliwość zamiany Credo na Cognosco absolutne, ks. Ciemniewski nie uznaje, by Wroński mógł osiągnąć to doskonałe poznanie Boga i rzeczywistości absolutnej. Odrzuca tedy tezę parakletyczną wrońskizmu, tj. uroszczenie, że „filozofia absolutna jest dopełnieniem obietnicy Parakleta, danej ludziom przez Jezusa Chrystusa". Aby zaś wybić z głowy wrońskistom takie fantastyczne hypotezy, dowodzi on, że wogóle nie nastąpi to oczekiwane przyjście ducha Prawdy, bo odbyło się ono już w zesłaniu Ducha Świętego w Zielone Świątki.

Otóż wydaje mi się (o ile wolno mnie, świeckiemu, zabierać głos w tym względzie), że ks. Ciemniewski zbyt łatwo przesądza kwestje dogmatycznie nie przesądzone, tak, jakby on sam znał prawdę absolutną, której możliwość poznania tak energicznie neguje. Nie powołuje się przecież w tej dziedzinie na dogmaty i orzeczenia „ex cathedra", lecz tylko na utarte w Kościele mniemania, a to przecież nie są pewniki. Poza tym: postawa zajęta przez autora art. „Poznanie prawdy objawionej przez Ducha Świętego" jest a-historyczna i a-filozoficzna. Jest a-historyczna, bo nie uznaje ewolucji i postępu wiary i poznania prawd nadprzyrodzonych, w czym różni się od innych teologów katolickich (vide np. Karol Adam: „Istota katolicyzmu"); przeocza też rozwój postępowy rozumu ludzkiego, uzdolniający go do coraz głębszego wnikania w treść transcendentną dogmatów i tajemnic religii. Jest a-filozoficzna, bo odmawia filozofii prawa do rozwiązywania tych problematów transcendentnych, najważniejszych dla człowieka, przez co odbiera jej wszelkie znaczenie i czyni rozwój wiedzy czymś niepotrzebnym w boskim planie dziejów — w czym znów odbiega od opinii teologów (vide np. Eberhardt: „Bez filozofii przepadnie Kościół niechybnie i przepaść musi, jak bez światła słonecznego przepadłoby wszystko"...). Jak dalece niesłuszną jest taka postawa i jak dalece świadomość postępu dziejowego i metoda filozoficzna niezbędna jest do zbawienia ludzkości, postaram się wykazać poniżej.

*) Z różnic między ks. Ciemniewskim a G. Henslem przytaczam najważniejszą: Podług G. Hensla dla rozumu ludzkiego poza grobem „zniknie zjaw Św. Trójcy, przeobrażony w zjaw transcendentny jedynego Boga", ponieważ aktualność triady znika w transcendencie, gdzie byt i wiedza utożsamiają się w absolucie. Na to napewno nie zgodzi się ks. Ciemniewski i będzie miał rację. Jakkolwiek inż. Hensel posługuje się w swym rozumowaniu terminologią filozofii Wrońskiego, nie jest tu zgodny z jej duchem. Triada nie znika bynajmniej w transcendencie, gdyż heterogeniczność bytu i wiedzy jest absolutna; Bóg stwarza siebie i wszechświat, utożsamiając i rozdzielając naprzemian te elementy pierwotne w akcie, czyli el. neutralno - podstawowym. Nie znika tedy i zjaw Trójcy Św. po tamtej stronie rzeczywistości, gdyż Trójca Św. jest formą absolutną indywidualności Bożej. Gdyby było tak, jak mniema G. Hensel, idea istoty Boga w Starym Zakonie byłaby wyższa niż w Nowym Zakonie. Zresztą osoby Trójcy Św. odpowiadają nie elementom triady, lecz trynomii genetycznej (Bóg - Ojciec = Prawo Najwyższe, Syn Boży = Problemat Powszechny, Duch Święty = Zbieg Teleologiczny).

Paraklet nie przyszedł w dniu Zielonych Świąt

Ks. Ciemniewski przeczy jakoby „zesłanie Ducha Św. na apostołów w Zielone Świątki dało im jedynie dar pamięci i dar języków, a więc tylko moc zachowywania i rozpowszechniania danej już nauki Chrystusa"; a jednak tak właśnie powiada katechizm katolicki (v. Piotr kard. Gasparri: „Katechizm katolicki", str. 45). Przeczy też ks. C. jakoby Kościół nie nauczał nic więcej, jak to co było zawarte explicite w nauce Chrystusa, bo po zesłaniu Ducha Św. apostołowie dopełnili to objawienie „do tego stopnia, że już nic do tego dodane być nie może". Odpowiadam: jeśli spojrzymy na tę rzecz z punktu widzenia ks. C., to było dodawane niejedno; dodał św. Paweł (sam ks. C. mówi, że uzupełnił on w niejednym naukę apostołów), choć nie był on z apostołami w Pięćdziesiątnicę, a więc nie uczestniczył w zesłaniu Ducha Św. — dodał św. Augustyn, a potem synody przeciw Pelagiuszowi (doktryna łaski), — dodawały sobory, ogłaszając nowe dogmaty i t. p. Zaś z mego punktu widzenia wszystkie te dodatki i uzupełnienia nie wniosły nic tak istotnego i zasadniczo nowego, coby można było uważać za spełnienie obietnicy Chrystusa o przyjściu ducha Prawdy - Pocieszyciela, który nauczyć nas miał przecież „wszelkiej prawdy".

Podług ks. Ciemniewskiego wyraz „wszystko", w tej obietnicy Chrystusa Pana, oznaczać miał tylko całokształt objawienia problematu zbawienia, a nie jego rozwiązanie, t. zn. „całą treść prawdy, jaka w danych warunkach może być przystępna człowiekowi", a więc „przystosowana do pojęć ludzkich ograniczonych przez zmysły".

Ja jednak sądzę, że jeśli Chrystus powiedział „wyjaśni wam *wszystko*" i „nauczy was *wszystkiego*", to trzeba brać tę zapowiedź dosłownie, a nie tak jak się nam podoba. „Wszystko" t. zn. cała prawda, a więc zarówno treść dogmatów i sens tajemnic, jak istota najwyższa rzeczywistości, poszukiwana przez metafizykę, i prawa rządzące historią ludzkości i budowa materii i matematyka i astronomia, bo rozum jest jeden i osobowość nasza cała pożąda prawdy. Jeżeli Paraklet miał nauczyć ludzi tylko całokształtu objawienia, to przyjście Jego było całkiem niepotrzebne, bo całokształt objawienia zawarł już w swej nauce Chrystus, a do nauczenia jej i wyjaśnienia wystarczyliby kapłani; jeżeli zaś miał nauczyć tylko prawdy dostępnej dla pojęć ograniczonych przez zmysły, to mogliby Go z łatwością wyręczyć filozofowie, którzy w

tym kunszcie celują. Powiem więcej, filozofowie poszli dalej i wyłamują się już z warunków zmysłowości, budując konstrukcje pojęć a priori i osiągając tak na drodze czysto dedukcyjnej, z czystego rozumu, poznania apodyktyczne, którym przyroda musi być posłuszna (czyni to również cała matematyka teoretyczna).

Zesłanie Ducha Św. na apostołów nie pouczyło i nie przekonało świata, po czyjej stronie jest grzech, a po czyjej sprawiedliwość, skoro możliwe jest wątpienie i bezbożnictwo, wsparte na podstawach naukowych, a kościół drży pod ciosami bolszewickiego materializmu i neopogańskiego biologizmu. Jakże ciasna jest ta koncepcja Parakleta, jaką nam ukazujecie? Gdzież ten duch Pocieszyciel, któryby uniemożliwił niewiarę, udowodnił niezbicie prawdziwość objawienia w świetle filozofii i nauki, nawrócił wszystkie schyzmy i kościoły poza - katolickie, aby była jedna owczarnia i jeden pasterz? Przecież to już po Zielonych Świątkach powstały te wszystkie odszczepieństwa, za którymi niktby nie poszedł, gdyby nie istniała możliwość różnej interpretacji niejasnego znaczenia prawd objawionych przez Chrystusa.

Powtarzam raz jeszcze, że jeśli apostołowie i wyznawcy Chrystusa nie mogli pojąć znaczenia słów „Oportet vos nasci denuo“ za Jego życia, tak dalece, że nie próbował On nawet im tego tłómaczyć, lecz odsunął wyjaśnienie w daleką przyszłość, to nie mogli oni tego pojąć z pewnością i w kilka tygodni po Jego odejściu od nich. Chyba, że powiemy, iż Syn Boży nie posiadał daru jasnego tłómaczenia, a posiadał go zato Duch Święty.

Słusznie też mówi Wroński („Cent pages“, str. 57):

„Niech-że nam tu nie przeciwstawiają dziecinnego twierdzenia, że ta obietnica Chrystusa została już dopełniona w Pięćdziesiątnicę, przez zstąpienie Ducha Świętego na apostołów. W stanie obecnym tej kwestii, i dla każdego kto czytał II rozdział Aktów Apostolskich, twierdzenie to... może być powtarzane tylko wobec dzieci i starych niewiast. Czy jednak te dzieci i te stare niewiasty nie będą domagać się od duchowieństwa, by dało im poznać drogę zbawienia, o którą pytał Nikodem: „*Quo modo possunt haec fieri*“, skoro duchowieństwo powiada im, że Duch Święty już to wyjaśnił apostołom, podług obietnicy Jezusa Chrystusa? I cóż im wtedy odpowie kler, jeśli nie zna on tej jedynej drogi zbawienia, którą Zbawiciel nam nakreślił? — Może powie on im, że należy praktykować *moralność;* ale dzieci i stare kobiety zareplikują duchowieństwu, że w tym wypadku Jezus Chrystus umiałby odpowiedzieć Nikodemowi, że dla rozwiązania problemu zbawienia: „Oportet vos nasci denuo“, należy trzymać się DEKALOGU. — Kler powie może wówczas, że dla rozwiązania tego problemu zbawienia trzeba praktykować tajemnice chrztu i innych sakramentów... lecz dzieci i stare kobiety zareplikują znowu, że Jezus Chrystus, daleki od obietnicy, że zawsze będziemy trzymać się TAJEMNIC, obiecał nam, wprost przeciwnie, że wyjaśni nam tajemnice i da nam poznać samą PRAWDĘ...“.

„Naprózno więc kler chciałby trzymać dłużej ludzkość w nieświadomości, w jakiej znajduje się ona do dziś, co do głównej kwestii naszej religii, co do kwestii zasadniczej, drogi naszego zbawienia: „*Quo modo possunt haec fieri*“? — Godzina wybiła, i trzeba koniecznie, by religia otrzymała wreszcie swoje święte i końcowe spełnienie, jakie obiecał nam Chrystus przez swoje święte słowa...“.

Czym tłumaczyć opór duchowieństwa

Wroński stwierdza, że kler odniósł spełnienie obietnicy Parakleta do Zielonych Świątek ze względów *taktycznych*, obawiając się herezyj w rodzaju wystąpienia Manesa. Intencja była zbożna, ale czy taktyka może być czynnikiem decydującym w tak doniosłej sprawie, dotyczącej „być albo nie być“ całej ludzkości? Czy nie zamienia się ona w „straszną niezbożność“? „W istocie, oświadcza się otwarcie, z jednej strony, wbrew wszelkiej oczywistości ludzkiej, że posiada się już PRAWDĘ, gdy nie rozumie się nawet jeszcze jej PROBLEMATÓW religijnych, jak to zostało dowiedzione dziś, gdy się widzi, że żaden Kościół chrześcijański nie pojął, do dziś dnia, wielkiego i decydującego problemu odrodzenia duchowego człowieka; a z drugiej strony, oświadcza się znowuż przez jakieś dziwne inspiracje, wbrew woli Bożej, i wyraźnie wbrew przeznaczeniom religijnym istoty rozumnej, że człowiek nie może dopełnić przeznaczeń, jakie mu Jezus Chrystus przepisał na ziemi, gdy rzekł do Nikodema: „*Nisi quis renatus fuerit denuo, non potest videre regnum Dei...*“

„...A więc dobrze, czy apostołowie na których podług was miała się dopełnić ta wielka obietnica, znali tę prawdę absolutną, którą Jezus Chrystus obiecał dać nam poznać *(docebit)* przez Parakleta? Pokażcie nam więc w ich Aktach miejsce, gdzie ją nam przedkładają, albo przynajmniej miejsce, gdzie mówią oni, bezpośrednio lub pośrednio, że ją znają. Wy sami, którzy utrzymujecie, że ta uroczysta i decydująca obietnica Jezusa, od której zawisł wyraźnie i nieodwołalnie los ludzkości, została dopełniona przez zstąpienie Ducha Świętego na apostołów czy na innych doktorów Kościoła, wy powinniście znać PRAWDĘ ABSOLUTNĄ. A więc pozwólcie nam, bo nas to najistotniej obchodzi, jako chrześcijan, skierować do was zapytanie, jakie Nikodem zadał Jezusowi Chrystusowi: „*Quomodo possunt haec fieri?*“. — A jeśli nie możecie odpowiedzieć, przyznajcież, że nie znacie prawdy absolutnej, i przestańcie się przeciwstawiać, z gorszącą bezbożnością, świętym postępom ludzkości, przez

które Bóg zlecił człowiekowi, w jego charakterze istoty rozumnej, zdobyć żywot wieczny...“.

Gorzkie to słowa, lecz dyktowane słusznym oburzeniem człowieka, który wzniósł się ku poznaniu bezpośredniemu prawd nadprzyrodzonych, i z tej wyżyny dostrzega ze zgrozą straszne następstwa opieszałości tych, którym dano te święte prawdy w depozyt i z których winy — wskutek opóźnienia w rozwiązaniu tych zbawczych problemów — szerzy się coraz powszechniej upadek moralny i bezbożnictwo, a ludzkość pchana jest coraz gwałtowniej na ślepy tor katastrofy.

Trudno doprawdy pojąć, dlaczego kler wzbrania się przyjąć z rąk filozofii absolutnej dowód prawdziwości apodyktycznej objawienia w świetle rozumu? Dlaczego tak się obawia owego zastąpienia Credo przez Cognosco religijne, jakby nie widział, jaki by to triumf zgotowało Kościołowi katolickiemu? Czy grają tu rolę jakieś względy kastowe? Czy duchowieństwo lęka się podświadomie, że wytłomaczenie filozoficzne dogmatów i tajemnic uczyniłoby zbędnym ich pośrednictwo między niebem a trzodą wiernych? Byłaby to słabostka arcyludzka, ale moglibyśmy uspokoić te obawy prostym stwierdzeniem, że — bez względu na ów dowód transcendentny, podany przez filozofię a dostępny przecież jedynie dla umysłów wysoko wykształconych w filozofii i teologii, — milionowe masy ludzkości potrzebować będą jeszcze przez tysiące lat tych samych co dziś pasterzy duchownych.

Jest to chyba dla każdego zrozumiałe. Raczej więc w lenistwie i schlebianiu wygodnictwu ludzkiemu trzeba by szukać źródeł owej niechęci. Jeśli bowiem do zbawienia potrzebny jest i głęboki wysiłek myśli — nietylko uczynki i praktyki religijne — jeśli obowiązkiem zarówno kleru jak wiernych jest wnikanie żmudne w treść prawdy, wmyślanie się w istotę absolutu i jego *prawa stworzenia*, rozwijanie w sobie rozumu stwórczego czyli tego zadatku Ducha Świętego, jaki otrzymaliśmy na chrzcie św., to wypływają stąd nowe i rozległe obowiązki duchowe, przeciwko którym buntuje się nasze lenistwo. Przy tym, ta droga zbawienia wygląda na trudniejszą i bardziej stromą, niż samo tylko chodzenie na Mszę Św. i przyjmowanie Sakramentów. Odwraca się więc od niej nasze tchórzostwo, które szepce: „A nuż nie podołasz...“.

Są to oczywiście refleksje natury ogólnej, nie dotyczące w niczym ks. Ciemniewskiego, gdyż jego opór przeciw idei Cognosco religijnego przypisuję innym, głębszym przyczynom: a) obawie przekroczenia tradycyjnych interpretacyj kościoła (tj. ortodoksalności religijnej), b) niedocenieniu roli filozofii, jako narzędzia Ducha Świętego w dziele zbawienia ludzkości (tj. ortodoksalności teologicznej).

O pierwszej mówić tu nie chcę, przejdę więc odrazu do drugiej.

Filozofia jako dzieło Ducha Świętego

Omawiając ideę mesjaniczną przejścia od Credo do Cognosco religijnego, postawiłem tezę, że religia zakłada problematy nadprzyrodzone a filozofia je rozwiązuje, a więc tylko kooperacja religii objawionej i filozofii transcendentnej może dopełnić obietnicę Parakleta tzn. dać ludziom prawdę absolutną. Ks. C. neguje tę tezę, gdyż zdaniem jego, rozwiązywanie problematów nadprzyrodzonych należy nie do filozofii lecz do teologii. Niestety nie udowadnia on tego twierdzenia, każąc wierzyć na słowo, że jest tak właśnie, jak mniema.

Tymczasem rola teologii jest zgoła inna. Należy do niej krytyka i egzegeza, hermeneutyka (tj. wyjaśnianie sensu tekstów świętych) i apologetyka, wykład symboliki religijnej i dogmatyki, wreszcie polemika z błędami, wszystko to jednak nie ma nic wspólnego z rozwiązywaniem założonego nam przez Chrystusa problematu zbawienia. I nie może być inaczej, gdyż: 1) Teologia ma za przedmiot to co Chrystus *powiedział* w zakresie prawdy objawionej, podczas gdy problemat drogi zbawienia („Quomodo possunt haec fieri“) dotyczy tego, czego nam Chrystus *nie powiedział* („Adhuc multa habeo dicere vobis, sed non potestis portare modo“); a nie powiedział dlatego, że musimy odkryć to sami, by zrównoważyć łaskę przez zasługę, a także dlatego, że zdobyć byt absolutny, czyli *przez się*, można jedynie własnym wysiłkiem twórczym, a więc przez się. 2) Mając dany zzewnątrz, gotowy przedmiot badań, teologia — podobnie jak nauka empiryczna i filozofia immanentystyczna — nie jest niezależna, czyli nie spełnia warunku niezbędnego dla dyscypliny, zdążającej do osiągnięcia prawdy absolutnej.

Filozofia transcendentna ma charakter wręcz odmienny. Jej przedmioty: *wiedza stwórcza i byt absolutny* duszy ludzkiej — nie istnieją, a raczej: nie są dane, lecz mają być dopiero stworzone. Jedynym organem tego stworzenia jest rozum sam w sobie, czyli *podmiot czysty*, do którego odnosi Kartezjusz swe „Cogito ergo sum“ i o którym powiada Kant, że nie ma on żadnego orzeczenia w świecie immanentnym.

Rozum ten i podmiot jest w nas jakby sparaliżowany, istnieje tylko potencjalnie; jest to skutek grzechu pierworodnego i wynikłego stąd rozłączenia „ja“ człowieczego z Bogiem. Zadaniem filozofii transcendentnej jest potencjalność tę obudzić i zaktualizować; właściwie ku temu zmierza wszelka filozofia, która jest w założeniu „wiedzą o wiedzy“, czyli o podmiocie czystym i jego czynności własnej, ale dopiero filozofia transcendentna sformułowała sobie wyraźnie ten problemat.

W terminologii teologicznej, ów *byt absolutny* to „życie nadprzyrodzone Chrystusa w nas“, zaś owa *wiedza stwórcza*, to „życie nadprzyrodzone Ducha Świętego w nas“. Łaska chrztu i wiary św. zwraca niejako oko wewnętrzne duszy na istnienie w nas tych *elementów rozumu absolutnego*, będącego energią samostwórczą, utrzymującą się poza czasem i przestrzenią, i poza światem stworzonym. Tak oto religia przywraca nam *formalnie*, mocą boskiego aktu Odkupienia, ten substrat raju w nas, utracony przez grzech pierworodny. Ale pozyskać go *esencjalnie* możemy tylko przez własny wysiłek żmudnej uprawy rozumu, czyli za pośrednictwem filozofii.

W świetle tych wywodów filozofia przestaje być obojętna dla zbawienia duszy, ba, staje się niezbędną i równoważna z religią, jako organ i metoda najwyższa rozwinięcia w nas bytu absolutnego i wiedzy stwórczej, które żyją w nas naprzód, *przez łaskę*, jako Chrystus i Duch Święty, lecz muszą być, *przez zasługę*, utożsamione z naszym „ja“ i całkowicie przezeń zindywidualizowane.

Filozofia jest tedy dziełem Ducha Świętego, może nawet w dosłowniejszym znaczeniu niż religia,

gdyż o ile domeną religii jest *indywidualność* naszego bytu absolutnego (Słowo w nas), o tyle domeną filozofii jest *powszechność* naszej wiedzy stwórczej (Duch Święty w nas). Tę cechę powszechności w Duchu Świętym podkreślił n. b. w jednym ze swych artykułów poprzednich ks. Ciemniewski („Duch ten jest *jeden we wszystkich*, dlatego nas jednoczy w jedno mistyczne ciało“). A powszechność Ducha Świętego oznacza — w terminologii filozofii transcendentnej — powszechność rozumu absolutnego, który, dopóki nie zostanie zindywidualizowany przez akt samostworzenia w chwili śmierci, jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach i pełni funkcję łącznika między człowiekiem a Bogiem. Słusznie też pisał O. Lacordaire: „Rozum w Bogu i człowieku na dnie swej istoty jest ten sam“.

Jasnym jest teraz, że tylko ów rozum absolutny, czyli Duch Święty, aktualny w poznaniu metafizycznym, jest w nas organem nadprzyrodzonym, sięgającym ponad doczesność i zdolnym do bezpośredniego poznania istoty wnętrznej Boga-Absolutu („Spiritus omnia scrutatur, etiam *profunda Dei*“). Jakże głęboka była intuicja intelektualna św. Tomasza: „Myśl a nie wiara staje się organem dla osiągnięcia Najwyższego“. W zdaniu tomisty: „Należy stwierdzić, że substancja Boska może być widziana jedynie przez intelekt“, podstawmy tylko pod termin „intelekt“ termin Wrońskiego „rozum absolutny“, a otrzymamy klucz do rozwiązania całego problematu zbawienia.

Jeżeli Bóg jest rozumem (duchem), czyli istnością samowiedzącą się a bezcielesną, to i organ poznania Go (zjednoczenia się z Nim) musi być tej samej natury tj. rozumem (duchem). Więcej jeszcze poznające musi tu być *tym samym*, co poznawane. Przypominam znów zdanie O. Rousselot: „Aby istota Boska mogła być oglądaną (poznaną), trzeba, by intelekt widział Ją przy pomocy Niej samej (tj. przy pomocy rozumu absolutnego czyli Ducha Świętego — *przyp. mój*), oraz aby w tym poznaniu (widzeniu) stała się równocześnie przedmiotem i środkiem poznania“.

Jak to jest możliwe, postaram się wyjaśnić w 2-giej części nin. artykułu (w nast. n-rze „Zetu“), która zainteresuje napewno inż. G. Hensla, jako kantystę. Tu ograniczę się tylko do podkreślenia, że jeśli filozofia (filozofowanie sensu stricto tj. spekulacja metafizyczna przy pomocy aktu transcendencji) jest bezpośrednim organem poznania Boga, nieodzownego do zbawienia duszy, i jeśli w filozoficznym akcie transcendencji przejawia się Duch Święty, to filozofia jest, w całym tego słowa znaczeniu, narzędziem i dziełem Ducha Świętego. Tak też należy rozumieć dzieje myśli filozoficznej, tj. rozwój świadomości spekulatywnej i metod poznawczych na przestrzeni wieków. Jest to druga, równorzędna z religią, trasa ogromnej i cudownie opatrznościowej drogi zbawienia, wytyczonej nam przez Boga.

W tym sensie należy rozumieć słowa Wrońskiego, że cechą esencjalną (zasadą) Ducha Świętego jest DWOISTOŚĆ, zaś Jego cechą formalną jest PRAWDA. Duch Święty działa bowiem jednocześnie od obydwu stron naszej rzeczywistości, od strony wiary i wiedzy, łaski i zasługi, religii i filozofii. Dopiero łączność, harmonia i zbieg celowy tych akcyj nadnaturalnych Ducha Świętego wytwarza i rozwija w ludzkości prawdę absolutną.

Jerzy Braun

Śladami człowieka

Rzecz o totaliźmie (Dokończenie)

Totalizm

Taka powszechna zgaga po szaleństwach egoizmów zaczęła się przejawiać w tęsknocie za jakąś zasadą, która by zapędzone „w kozi róg“ osobowości ludzkie z otchłani tej wydobyła i natchnęła nową wiarą w siebie. Rzecz prosta, że nie mogło się obejść bez tego, aby owej zasadzie nie udzielono a priori w pewnym sensie prawa przemocy. Gdyż nadal podświadomie się mniema, że należy się historii pewnego rodzaju zadośćuczynienie za fakt słabości i że tylko tego rodzaju nacisk spowoduje odrodzenie się wysiłku. Są to dość często obserwowane powszechne nawroty mikromanii, następujące po wyjałowieniu wysiłku z wszelkiej rozumnej treści.

Ta tęsknota właśnie, wydobyła na wierzch totalizm. Jest on narazie pojmowany jak najbardziej różnorodnie. Na jedno się tylko powszechnie zgodzono, a mianowicie na to, że niesie on w swej istocie zasadniczą przewagę powszechności nad osobowością człowieka. Jest to właśnie jak gdyby ekspiacja za poprzedni okres utylitaryzmu i egoizmu.

Przez prostą sprzeczność, obecnemu okresowi totalizmów przydano znamię ofiarności, poświęcenia ze strony człowieka, — wyrzeczenia się osobistych korzyści na rzecz zbiorowości, rozmaicie zresztą określanych. Zbiorowości te uczyniono jak gdyby istnością ponadczłowieczą, — istnością nadrzędną.

Czy to właśnie ma być ową prawdą totalizmu? Myślę, że nie. Bo nieco później okazało się, że totalizm ma jeszcze inne zadania przed sobą, a mianowicie konieczność rozpętania na nowo wysiłków i przyrostu korzyści, podobnie jak w okresie pionierstwa kapitalistycznego, tylko pojętych znacznie szerzej i potężniej.

Potrzeba nowych wysiłków

Okazało się bowiem wkrótce, iż wyrosły przed ludzkością zwały tak wielkich trudności i zagadnień, że pokonać je i rozwiązać będą mogły tylko większe grupy ludzkie, stopione w jedno ramię, w jeden mózg, w jedną moc ducha i ciała. Okazała się więc potrzeba nowych i znacznie zwiększonych wysiłków.

Zaczęto gorączkowo poszukiwać takich grup, któreby dały się stopić w pożądany monolit; jak dotąd wysunięto jako wzory, naród i klasę (Stachniuk — Kolektywizm a naród).

Mają już one za sobą swoją, wprawdzie niedługą, ale obfitą w wypadki historię. Dla stopienia owych monolitów, użyto najróżnorodniejszych metod, jak stosowanie teroru, rozpalanie emocyj, uczuć nacjonalistycznych, — stosowanie zastrzyków narkotyzujących propagandy, zajęcie uwagi ludzkiej atrakcjami itp.

Jeżeli na chłodno rozważymy dotychczasowy okres eksperymentu totalnego, to zauważymy, iż zasadniczym błędem, „wyłażącym“ już wszystkimi porami ustrojów totalnych,

jest po pierwsze: gniotąca przewaga powszechności takich jak naród, państwo, klasa, nad wartością i znaczeniem osobowości ludzkiej — po drugie: brak pełnego zrozumienia dla wysiłku pojedynczego człowieka, jako źródła sił mocodajnych i organizacyjnych.

Czyżby więc te próby można było naprawdę nazwać totalizmem? Napewno nie! Totalizm bowiem to jest coś znacznie większego, znacznie powszechniejszego i znacznie wartościowszego.

Czym nie jest totalizm

Z samego pojęcia totalizmu wynika, iż jest on wszystkością. Ta wszystkość — rzecz prosta — dotyczyć może tylko wszystkości człowieczej, gdyż inaczej nie mogłaby ona być zrealizowana przez człowieka, — nie mogłaby dotyczyć zagadnień społeczno - ustrojowych, zagadnień mocy i mądrości zbiorowej.

Jeżeli zatem totalizm ma być wszystkością człowieczą, to nie może on być tylko i wyłącznie religią, gdyż akt wiary nie wyczerpuje całej treści człowieka. Człowiek bowiem musi badać i poznać gruntownie to, co ma tworzyć, jak również musi on przekształcać i tworzyć swój świat według własnych koncepcyj.

Totalizm taki nie może też być tylko doktryną, gdyż jest on w równej mierze działalnością samą w sobie i czerpie swoje impulsy w równej mierze ze stanów emocjonalnych, jak i dyskursywnych. Zasadza się on w takimże samym stopniu na akcie wiary, która antycypuje i wyznacza kierunki dla myśli i działania.

Nie może totalizm być tylko prądem ideowym, nieosobowym i bezkierunkowym, gdyż jest on przez człowieka poczęty, przez niego realizowany, określany celowo i zależny od niego tak w swym napięciu, jak i w swej różnorodności.

Nie może być również totalizm ustrojem, ponieważ jest w równym stopniu dążnością i działaniem in statu nascendi, jak i statycznością wytworzonych form. Ustrój zaś jest schematem i układem już ustalonych i zobiektywizowanych norm współżycia.

Totalizm nie może się wiązać z jakąś wyłączną i poszczególną treścią, jak na przykład: państwo, klasa, gdyż po pierwsze, ma on swą podstawę w osobowości ludzkiej (w pojęciach, działaniu, uczuciach i pracy), a po drugie, sprowadzony do takich ograniczonych form życia, przeczyłby sam sobie, gdyż nie byłby wskutek tego wszystkością. Bowiem człowiek poprzez religię, filozofię, naukę, sztukę, pracę, przekracza ramy narodu, państwa i klasy. Widać więc z tego, iż powszechności te nie wyczerpują wszystkości, a zatem nie mogą być totalizmami.

W końcu totalizm nie może być już czymś dokonanym, zamykało by to bowiem dalszy postęp. Nie może być również samą inspiracją, lub też samym celem. Nie może być wyłącznie istotą twórczości, lub poświęcenia, gdyż w pierwszym wypadku nie miałby celu ustanowionego przez człowieka, a tylko przez moce w nim działające, — w drugim zaś, zagubiłby swą podstawę mocodajną, przeobrażającą świat na wzór i podobieństwo swoje.

Totalizm nie może być i nie jest tylko i wyłącznie dążnością, wolą, czynem, poznaniem, entuzjazmem, miłością, mocą, siłą i t. p.

Czym jest totalizm

Czymże wobec tego jest totalizm? Uprzednio już powiedziałem, że przez pojęcie „totalizm" należy dosłownie rozumieć w s z y s t k o ś ć c z ł o w i e c z ą. A jeżeli jest już mowa o wszystkości w dziejach ludzkich, to tylko o takiej, która może być przez człowieka pojęta, przez niego bezpośrednio odczuta i przeniknięta jego świadomością, przez niego zrozumiana, chciana, wytwarzana, wypracowywana i utrwalana i t. p.

Taka wszystkość jest moim zdaniem tylko jedna dla każdego człowieka i jedna też dla wszystkich, a jest nią mianowicie o s o b o w o ś ć c z ł o w i e k a. Czy taka, jaka jest obecnie? Nie! Ta bowiem, która jest w obecnej chwili, stanowić może tylko punkt wyjściowy. Totalizm zaś jako wszystkość, niesie w sobie również cel, którym nie może przecież być obecna osobowość, przekreśliło by to bowiem tym samym potrzebę celu. Ale osobowość, ta którą dopiero wytworzymy, ta którą wypracujemy i utrwalimy, ta m o ż e być celem. I jest nim.

Jest ona w naszych obecnych warunkach najgłębszym naszym impulsem i bodźcem, jest celem i zasadą naszej mądrości, świętością naszej pracy i jej mocą. Jest ona bowiem człowieczą osobowością n i e ś m i e r t e l n ą, dla której naród, ludzkość, są tylko innymi obliczami tej samej nieśmiertelności. Zbiorowości wszelkie to tylko etapy i momenty, na których ona nabierała głębszego i powszechniejszego znaczenia, przez które zdobywała swą moc i w stopieniu z którymi osiągała swą nieśmiertelność.

Zastosowanie totalizmu

Tak pojęty totalizm jest pomimo wszystko dla obecnych warunków tylko ideą i w niczym nie poprawia sytuacji. W dalszym ciągu stoimy wobec zagadnienia, rzuconego już przez Brzozowskiego: jak może idea bezpośrednio oddziaływać na rzeczywistość i przekształcać ją podług swoich wymogów.

Do tego też zapytania sprowadza się dzisiejsze historyczne zagadnienie. Widzimy bowiem i doświadczamy niemal codziennie, iż zaklęcia słowne nie działają bezpośrednio na rzeczywistość. Zawołanie „Sezamie otwórz się" działało skutecznie, ale tylko w bajce.

Brzozowski twierdzi, i z tym się chyba zgodzi każdy myślący człowiek, że idee mają znaczenie w historii o tyle tylko, o ile działają pobudzająco na wytwórczość człowieka i wolę samowychowywania się. Innymi słowy, o ile sprzęgają się z mocą człowieka i przelewają weń swój impuls.

Musi zatem istnieć płaszczyzna, na której totalizm jako idea sprzęgnie się z indywidualnym wysiłkiem człowieka i tchnie weń swój impuls. Moim zdaniem nie może się to stać gdzie indziej, jak tylko tam, gdzie tkwi, trywialnie powiedziawszy, interes człowieka, gdzie tkwi w człowieku przeświadczenie i potrzeba znaczenia indywidualnego, jako jednostki, w „tym co się dzieje", to jest w rzeczywistości świata. Na płaszczyźnie instynktownego życia człowieka, tam gdzie on się trudzi nad swoim utrzymaniem się w bycie, tam gdzie wysila się nad uczynieniem swego życia obszernym, władczym i zasobnym w dobra — tam, gdzie zasada interesu jest dlań pobudką wysiłków celowych, — tam tylko totalizm, jako idea, jako powszechność, musi się z tym wysiłkiem przeniknąć i przezwyciężyć w nim to, co jest tylko instynktowne, a rozniecić to, co jest świadome i celowe. Jednym słowem musi uzgodnić i stopić to, co jest potrzebą i dążnością poszczególnej osobowości z tym, co jest powszechne, a co zrozumiane może być tylko jako obowiązek w stosunku do zbiorowości.

Okaże się więc w końcu, że zagadnienie jednostkowego interesu będzie jednym obliczem, a zagadnienie poświęcenia i obowiązku będzie drugim obliczem i impulsem tej samej zasady mocy człowieczej, która otaczającą ją rzeczywistość zmienia, wypracowuje i przyswaja, odradzając się w niej i zdobywając nową, wzmożoną moc. Przyroda bowiem i to co nas otacza, a nawet nasze wytwory, nie rozumieją już zaklęć, ani rozkazów idei. Nie zmienią one swej

konstrukcji, ani też składu, dopóki tego nie uczyni moc człowieka. Bez wytworzenia zaś ciągłych i ustawicznych przekształceń nie jest możliwy wszelki postęp. Nie byłoby bowiem przyrostu świadomości, wzmożenia uczuć i sił.

Na pewnych płaszczyznach moc jednego człowieka już nie wystarcza do przeprowadzenia koniecznych zmian. I dlatego początkowa współpraca, w miarę jej zacieśnienia się i powiększania się trudności zewnętrznych, przeradza się stopniowo w samorzutne, a potem świadome stapianie się coraz to większych grup, aby w końcu dojść do całki takiej jak naród. W tym momencie stopienia, poprzez wszystkie osobowości członków narodu przebiegnie prąd, który będzie zarazem ich sumą ilościową, jak i zupełnie czymś nowym. Będzie to bowiem zaistnienie nowej mocy powszechnej, mocy narodu. Będzie to dokonanie się prawdziwe narodu. Będzie to stopienie i utożsamienie się osobowości człowieka z narodem. Odbędzie się to na tym etapie historii, w którym dominującą siłą twórczą będzie ludzka praca.

W naszych więc warunkach jedynym totalizmem, a raczej dążnością totalną (do nieśmiertelności!) jest praca, przez którą człowiek przeobraża świat, poświęca się narodowi i ludzkości, zdobywa sam dla siebie świadomość i nieśmiertelność osobową, wypełnia swój obowiązek w stosunku do siebie, narodu, ludzkości i Boga.

W pracy tylko tkwi jedyny zalążek totalistyczny. To zaś wszystko, co się nam obecnie prezentuje, a co ludzie pochopnie totalizmem nazywają, to tylko mity i wyobrażenia totalizmu, to statolatrie, kolektywy gospodarczo-narodowe, akty wiary i natchnienia, jednostronne konstrukcje filozoficzne, nade wszystko fikcje wyobrażeniowe, fikcje, płonące ogniami emocyj.

Stanisław Wachal

„Wierzę w świętych obcowanie"

Staś kocha naturę: Staś przez całe lato zrywa kwiatki, suszy i wkleja do zielnika. Ugania za motylami, które namiętnie kolekcjonuje, wbijając je na cienkie szpilki. Pan Stanisław też kocha naturę: Pan Stanisław każdą wolną chwilę w lecie, czy w zimie spędza na polowaniu. Strzela zwierzęta.

Może ktoś posądzi mnie o pewną dozę szyderstwa? Chociaż takie słowa można usłyszeć wypowiedziane serio. Ale chyba nikt nie posądzi mnie o ironię, gdy powiem: Pan Michał kocha naturę, kocha słońce, gwiazdy, śnieg i wodę. Całe lato spędza na kajaku na rzece, albo nad morzem, a w zimie idzie w góry na nartach podziwiać cuda natury...

Mimo to w słowach tych jest wyraźnie nadużyte słowo „kocha". Jak może być mowa o miłości tam, gdzie jedna strona tylko bierze (czasem rabuje), a nic nie daje i nic z siebie dać nie może, a druga strona niczego nie potrzebuje, nic o miłości nie wie, a na oświadczenia miłosne nawet rymowane jest zupełnie obojętna?! Nie można tego nazwać nawet miłością bez wzajemności, bo zawsze po stronie człowieka jest choćby ukryty interes: choćby ten „odpoczynek nerwów". Te wszystkie „bezinteresowne" zachwyty mają jednak zawsze coś z zadowolenia napełnionego brzucha, a choćby tylko przewietrzonych płuc, albo obmytej skóry. Obawiam się, że „miłość natury" trzeba uznać za urojenie. Rozkoszowanie się widokiem gór, czy blaskiem zachodu nie są to doznania w rodzaju artystycznych (ekstatycznych). Natura nie podnosi człowieka, nie uszlachetnia go. Jedno tylko: Stosunek człowieka do natury może być bardziej lub mniej żarłoczny, czy rabunkowy. Może być dystyngowanie - konsumpcyjny. Poza tym różne pola eksploatacji nie wymagają zawsze zachowania się brutalnego. Ale w istocie rzeczy ten turysta, który zachwyca się błękitem nieba na szczycie Świnicy, zjadłszy kotlet cielęcy, różni się od rzeźnika, który mu ten kotlet przygotował w rzeźni rytualnej, wzniesieniem tylko ponad poziom morza...

Człowiek ma swoje królestwo. Królestwo człowieka na ziemi nie ma z naturą nic wspólnego. Dlaczegoż od tych zachwytów, od tych cudownych śniegów i słońca duch ludzki wraca bez żalu w swoje własne królestwo, zbudowane nieraz w zimnej, ciemnej, wilgotnej izbie czy pracowni, lub zakurzonych kulisach teatru?

Niech nikt mnie nie posądzi, że nie znam natury. Jestem wprawdzie mieszczuchem z urodzenia, wychowania i zawodu, jednak umiem eksploatować i eksploatowałem przyrodę we wszystkich porach roku i w wielu różnych okolicach i okolicznościach. „Kocham" ją, jak każdy zdrowy człowiek, ale natchnienia nie dała mi nigdy. Nie wierzę, aby z wycieczki narciarskiej przyniósł artysta do domu coś więcej, jak trochę górskiego śniegu przylepionego na deskach. Wprawdzie wielu, zbyt wielu jest takich konsumentów, którzy śnieg przyniesiony przez artystę oglądają w ramkach na wystawach, lub w zgrabnych wierszykach chętniej niż w naturze. Ja nie. Ja wolę słońce i śnieg prawdziwy. Narty moje oczyszczam ze śniegu przed progiem, a na wystawach i w książkach szukam czego innego. W przyrodzie czuję się błogo, jestem strasznie zadowolony i wtedy nic mi się ani robić, ani myśleć nie chce. Czuję się jak Adam w raju, zanim Pan Bóg naruszył harmonię jego rajskiego bytowania przez danie mu nieśmiertelnej duszy wraz z prawem stwarzania swojego własnego świata.

Ale dlaczego w takim razie przyroda (żywa i martwa) powiedzmy: *rzeczowość* — tak prawie nieodłącznie związana jest ze sztuką plastyczną? Oto: Jesteśmy odgrodzeni od naszych bliźnich właśnie przyrodą. Gdy chcemy z nimi obcować, gdy chcemy im coś dać ze siebie, musimy się przedrzeć przez tę zaporę. Budujemy mosty z elementów przyrody. To są „dzieła sztuki". O ile treść jest zawsze — w każdym prawdziwym dziele sztuki — niezłożona, jednorodna i nowa, o tyle forma materialna jest zawsze złożona i ulega na przestrzeni historii ciągłym zmianom, może nawet zmianom periodycznym. Od elementów dosłownie wziętych z natury, aż do abstrakcji wszystko może być zdatnym budulcem formy. Po czasie element często używany i nadużywany wyciera się, traci znaczenie, jak słowo, przestaje działać. Wtedy artysta sięga po elementy inne. Dwa są krańcowe typy artystów, pomiędzy którymi można rozróżnić całą skalę typów pośrednich: *Twórcy*, którzy nie umieją budować mostów i *mistrze*, którzy na zbudowanych kunsztownie mostach nie mają czego eksportować.

1) *Wybór.* Przypadkowy wycinek natury nie jest nigdy dziełem sztuki. Czynność artystyczna zaczyna się z wyborem. Wybrać, to znaczy nadać przedmiotowi lub fragmentowi, czy zespołowi przedmiotów znaczenie organicznej jedności. Wyboru dokonuje się przez zamknięcie, oddzielenie od reszty. Dobrze wybrany pejsaż, mimo że jest zawsze fragmentem jeszcze większej całości, a równocześnie zbiorowiskiem licznych przedmiotów, robi wrażenie organicznej jedności i całości. Dobrze ujęte popiersie jest organiczną jednością. Na wyborze opiera się artystyczna fotografia. Bez przesady można też powiedzieć, że znaczna większość widywanych po wystawach obrazów również na niczym innym się nie opiera.

2) *Układ.* Jeżeli według jakiejś z góry powziętej zasady artysta zestawi przedmioty w całość wyższego rzędu, mówimy o kompozycji — układzie. Nieistotną jest okoliczność, czy układa przedmioty przed wykonaniem dzieła (jak zwykle przy malowaniu martwych natur i portretów z natury), czy też w obrazie samym. Kompozycję spotykamy w fotografii również bardzo często (dobrą czy złą, to inna rzecz). Wybór i układ może już decydować w wysokim stopniu o stylu dzieła (realizm formalny). Przykład fotografii jest tu bardzo pouczający. Proszę przypomnieć sobie międzynarodowe pokazy amatorskiej fotografii. Mimo, że artysta posłużył się reprodukcją natury na drodze mechanicznej, nieraz prawie bez dotknięcia ręką, dał ciekawe okazy stylu narodowego, mającego więcej cech wspólnych z malarstwem czy grafiką swego kraju, aniżeli z fotografią obcego narodu.

3) *Uproszczenie.* Natura jest nieskończenie skomplikowana. Im bystrzejszy zmysł wzroku, tym więcej rozróżnia szczegółów, które w budowie formy musi zorganizować, albo pominąć. Bogactwo środków bez koniecznej potrzeby — staje się gadatliwością i uproszczenie w praktyce malarskiej słabsze lub silniejsze jest zawsze konieczne. Nieraz krótkie „ach" więcej mówi i silniej może być odczute od długiej jeremiady. Cóż stąd za korzyść, że most jest kunsztownie zbudowany, jeżeli jest niepotrzebnie i męcząco długi ? Granica, do jakiej uproszczenie w sztuce może być posunięte, nie da się z góry oznaczyć. Zależy od treści, jaką dana forma ma wyrażać, od zdolności syntetyzowania artysty i od przyzwyczajenia widzów. W dzisiejszym stanie sztuki silne uproszczenie napotyka zawsze na protesty widzów. Zresztą nic dziwnego: Tu zaczyna się już gwałcenie natury. Ale nie należy zapominać, że natura jest tylko środkiem, surowcem.

4) *Deformacja.* Na wypowiedzenie nowej myśli nie zawsze wystarczy nowa kombinacja starych słów; nieraz powstać będzie musiało nowe słowo. Tak rodził się i rozwijał każdy język. A przecież sztuka to ciągłe stwarzanie nowych treści, więc jakżeż obejść się bez nowych sposobów wypowiadania?! Odpowiednie gotowe elementy formy w naturze nie zawsze znaleźć można. Artysta musi naginać formę do treści. Deformuje. Tworzy karykaturę w sensie poważnym (nie komicznym). Ktoś ma za długą szyję, ktoś ma skręconą nogę, ktoś ma za białą twarz. Protesty! Ale na prawdę nie ma czego. Przecież obraz to nie zbiór „fotosów" w biurze pośrednictwa małżeństw. Malarz nie miał zamiaru obrazić nikogo, ani osobiście, ani rodu ludzkiego w całości. — W jakich wypadkach i jak deformować, tego określić niepodobna. Nawet artysta sam zwykle nie wie, a tylko czuje, co i jak przekształcić może i musi, aby treść swą należycie wyrazić. Ale dlatego właśnie, że nie ma stałych kryteriów w tej sprawie, oprócz wyczucia, zdarza się tak wiele blagi. Bo deformacja pochodzić może także z nieudolności, albo z programowego „szukania nowej formy", jak to szumnie nazywają wyjałowieni z treści kombinatorzy. — Aparat fotograficzny nie może już sobie pozwolić na deformację, bo taka jak w krzywych zwierciadłach jest przypadkowa, niczego nie wyraża i z deformacją artystyczną nie ma nic wspólnego.

5) *Abstrakcja.* Natura to zawsze: przedmioty, rzeczy. Jeżeli jednak rzecz straci na obrazie zbyt wiele cech, to może stracić też i swoją „rzeczowość". Nie możemy jej już na obrazie rozpoznać. Artysta odrywa od rzeczy jakąś cechę i ta tylko wchodzi w obraz. Obraz przestaje być podobizną rzeczy. Staje się abstrakcyjnym zespołem barw i form, po prostu muzyką wzroku. Próby w tym kierunku były i są prowadzone. Wabią malarzy wspaniałe osiągnięcia prawdziwej muzyki. Ale analogia — raczej pojęciowa, w praktyce malarskiej zawodzi.

Każdy z powyższych stopni przetwarzania natury może być dobrym w odpowiednim czasie i w ręku odpowiedniego mistrza i sam jeszcze nie przesądza *wartości* dzieła (a więc czy ono działa, czy nie), ale przesądza sprawę *stylu.* Mam wrażenie, że dziś najdostępniejszą ogółowi i najsilniej działającą jest forma naturalna uproszczona i lekko „zdeformowana". Styl wtedy jest jednolity, jeżeli artysta przyjęty sposób traktowania natury w całym dziele przeprowadza konsekwentnie. To jest jedna z głównych zalet mistrzostwa. A więc, np.: Jeżeli upraszcza, to w całym obrazie stopień uproszczenia powinien być jednaki; a grzechem przeciw stylowi jest np. abstrakcyjne tło przy realistycznym portrecie tak często spotykane.

Czytałem nie dawno przepowiednię, że sztuka wnet zniknie ze świata. Wtedy mianowicie, gdy ludziom wszystkim w życiu kolektywnym będzie dobrze na ziemi. (Jakże już blisko do tego!). Kiedy nie będą potrzebowali uciekać myślą od rzeczywistości do urojonego świata. Nie pamiętam, kto, gdzie i kiedy; ale humanista by tego nie powiedział. Bo sztuka prawdziwa jest właśnie rzeczywistością świata *ludzkiego,* a nie urojeniem świata rzeczy: Nie jest ucieczką, ale zbliżeniem, nie jest zapomnieniem, ale świadomością. Ale i ja wierzę, że sztuka zniknie ze świata. Zniknie mianowicie wtedy, gdy człowiek treść swojej duszy potrafi wypromieniować bezpośrednio bez udziału materialnej formy.

Wierzę w „świętych obcowanie".

Adam Bunsch

Los
Dramat w 4 odsłonach Mariana Niżyńskiego

Odsłona II

(Lunapark. Muzyka i gwar. Na pierwszym planie: stragan, w głębi: karuzela).

Dialog.

—

W jakich snach je płóczesz? Z jakich słów budujesz?
Pokaż mi nareszcie jak ono wygląda!

—

Jeszcze krok — pochwycisz je w nagłym zachwycie,
Niech bint Nelly siada na tego wielbłąda,
A gdy karuzela jak bąk zawiruje,
Niech bint przymknie oczy, nie myśli, to życie!

Scena I.

(Przy straganie Kramarka otoczona gromadą).

KRAMARKA:

„Młodego, starego — świętoszka i drania,
„Wańka wstańka“ uczy jak trzeba się kłaniać.
Tak przed dyrektorem, tak przed konkorentem,
Przed pierwszym, po pierwszym, na codzień, na święto!“

(Demonstruje — gromada śmieje się).

„Krościatą facjatę, niefotogeniczną,
ten preparat robi jak te lale śliczną.
Jak glaspapier, ściera piegi, zezy, garby,
z pypki robi księdza, z wydry Gretę Garbo“.
(j. w.).
„Liczydło - mamidło, samiuśkie rachuje,
nie brakuje złotych, groszy nie brakuje,
liczydło pracuje, liczydło nagradza,
forsę masz w kieszeni a w książkach się zgadza!“
(j. w.).

JACEK:

Pełna tabela lote...

KRAMARKA:

O psie mięso!
Jużeś tu?

JACEK:

Kuryjer,...

KRAMARKA:

...bo bąka roztrzęsę!

JACEK:

Team A z Czardaszami wygrał trzy do zera!
Team B na pięć jeden zaharatał Wiedeń!
Zwariować można! Trzy zero! Pięć jeden!
Trzy zero! Pięć jeden! Ciotuchno!...

KRAMARKA:

Cholera!

(Tłum kupuje u Jacka gazety, Jacek mruga).

JACEK:

I o co ciotuchna ta kopa lamentu?
Każdy chce zarobić swoje parę centów.

KRAMARKA (mityguje się).

Trzy zero, se ojca idź pilnuj do parku!
Pije, gra, a świeże nieszczęście na karku!

JACEK:

Taki ojciec!...

KRAMARKA:

Niby nie wiesz o powodzi?
A jak woda w nocy tartak wam zabierze?
A Zośka? Psie mięso. Na gazetach leżysz,
a wiesz tyle co i...

JACEK:

Co mnie to obchodzi?

(Jacek czyta gazety).

KUPUJĄCY:

Ano co kosztuje ten złamany pierot?

KRAMARKA:

Ten książe Windsoru?
(zastanawia się)
Pięć jeden, trzy zero.

(Kupujący wzrusza ramionami, otaczający dziwią się i odchodzą).

(do Jacka)

No coś tak zzieleniał?

JACEK (czyta gazetę).

Matczyna pod wodą!
Puści zator, tartak na łeb z grobli zjedzie!
Czy ciocia pamięta tę srebrną nagrodę?
Jest w szafce łączników — a co wtedy będzie?

KRAMARKA:

Woda, niby woda, ale większa bieda...
Ojciec chodzi, krzyczy, że tartak chce sprzedać...

JACEK:

Co? Kiedy? Że tartak... (zaciska pięści i chce odejść).

KRAMARKA:

Jacuś stój! Gazety!

JACEK:

Gdzie ten drań? (odbiega).

KRAMARKA:

Psie mięso! Zabije! O rety!
Jak się zepną — będzie co widzieć dopiero...

(zreflektowawszy się).

E... nic se nie zrobią... pięć jeden, trzy zero...

Scena 2.

(Na czele gromady Minus).

MINUS

I jeszcze jedna konferencja więcej!
I jeszcze diety, jeszcze honoraria!
A nam zdrętwiały bezrobotne ręce,

—

A myśmy głodni!

—

Spalić sekretariat!

—

Rozpędzić, psiakrew, bandy urzędników!

—

Pod województwo!

MINUS

Panowie bez krzyków!
Choćbyśmy gardła zżarli na protestach,
nie zabijemy i tak wrażej bestii
nieróbstwa.

—

Długo czekamy!

MINUS

Nie będziemy czekać.
Teraz zaczniemy działać my!

—

Pan zwleka...

MINUS

Gdybym miał pewność, że mym słowom butnym

przydacie pięści groźne żądła,
do ócz bym skoczył, jak wyrok okrutny
i prawa żądał!

—

Poprzemy pana! Niech się pan nie boi!

MINUS

Spokojnie! Oto przekładam wam projekt:
Wiem, że dzisiaj rano za grube szachrajstwa
wyleli głównego kasjera. Panowie!
Kasjer, niż Bóg więcej znaczy w każdym państwie.
Na tym stanowisku trwać musi nasz człowiek.

—

Naturalnie.

MINUS

Czemu jęczymy pod belką,
choć w deszczu programów czas obłędnie leci?
Odpowiadam: włada bytem mas Bank Wielki,
ale Bankiem Wielkim władają poeci.

—

Precz!

MINUS

Trza działać, zanim mafia konkurentów
zdąży tam wlutować swego adwokata.
Precz z synekurami burżujów i mętów.!

—

Wybieramy pana. Pan jest delegatem.

MINUS

Dziękuję. A oto proste plany moje:
Zamiast dumę tarzać u stóp tego szczytu,
co głód chce owinąć w ustaw piękne zwoje,
sami zbudujemy gmach naszego bytu.
Potrzeba mi miesiąc pracy waszej darmo,
potrzeba gotówki: pięć tysięcy złotych!

—

Będą.

MINUS

Gdy rząd ujrzy początek roboty,
na resztę gotówkę wygarnie.

—

No, a jak rząd okpi i pana i nas?

MINUS

Ts. Na rewolucję zawsze mamy czas.
Tymczasem trza zebrać się pod głównym gmachem
i uderzyć krzykiem. Po tym trochę sprytu.
Pójdę tam, przemówię. Pod pręgierzem strachu
udzielą kredytu.

—

Już mówili różnie. Tu bywali i tacy,
co to budowali ten gmach wśród rozpadlin.
I co? Dawaliśmy swoją krew i pracę,
i co? Te kanalie... śpiewali... a
kradli

(Minus zdetonowany, chwila milczenia).

MINUS

Ja nie powiem, że mi szczęście wasze celem,
że mię waszych dzieci martwi chleb powszedni.
Ja powiadam prosto, moi przyjaciele:
że wy mi jesteście potrzebni.
Poskoczyłem do ócz idealizmowi,
legendom, poezji, programom, nazwiskom.
Boli mię, jak rana rozpalona człowiek,
to wszystko.
Rzecz w tym: by kiedy chcą tumanić,
że Bóg, że czas, że święta pleśń,
rozedrzeć gładki słów aksamit
pazurem: jeść.
Rzecz w tym: ideał nie zaszkodzi.
Niech łyska w oćmie intelektu mit.
Ale po ziemi trzeba chodzić
pod życia twardy rytm.

(poruszenie)

Jeżeli wsparty na swej sile,
zdala od łaski dekretów zdradliwych
dźwignę się z wami choć na tyle,
by wyżyć, powiem, że jestem szczęśliwy.

(szmer zadowolenia)

Zwyciężymy, jeśli przerżnąwszy się krwawo
przez biurokratyzmu i zastoju lasy,
zostawimy mistrzom ideje, ustawy,
a sami zeżremy kęs chleba z kiełbasą.

(Entuzjazm wzrasta. Minus cofając się nieostrożnie, trąca kram i powoduje przewrócenie się tyczki).

Scena 3.

KRAMARKA

Gdzie się pan pycha, towar pan tratuje.

MINUS

Ach, pardon. Istotnie. Co to? Frak?

KRAMARKA

Autobus.
Podnieś pan! O, tyłem chodzi, jakiś łobuz.

MINUS

Dobry znak. Kupuję ten frak!

KRAMARKA

Pan kupuje?
„Młodego, starego, — świętoszka i drania,
Wańka-wstańka uczy jak się trzeba kłaniać.
Tak przed dyrektorem, tak przed konkorentem,
przed pierwszym, po pierwszym, na codzień, na
święto".

MINUS

Brawo!

KRAMARKA

„...Pysk krościasty, niefotogeniczny,
ten preparat robi jak te lale ślicznym,
Jak glaspapier ściera piegi, zezy, garby,
z pypki robi księdza, z wydry Gretę Garbo".

MINUS

Eureka!

KRAMARKA

„Liczydło, co samo rachuje!
Nie brakuje złotych, groszy nie brakuje.
Liczydło pracuje, liczydło nagradza,
forsę masz w kieszeni, a w książkach się zgadza".

MINUS

Kupuję! Kupuję!

—

Żarty panu w głowie.
Kiedy od nadmiaru spraw truchleje człowiek?

MINUS

Nie! W tym arsenale przyczajone skrycie,
dwudziestego wieku kipi nagie życie!
Manekin, aparat, liczydło, o kpy!
To długie sylaby króciutkiego „my".

(Minus kupiwszy frak, daje do potrzymania Lulowi zabawki, sam odchodzi na stronę aby przebrać się).

LULU

Cóż rozdziawiasz gęby, o proletariacie?
My: to my! To jasne! Mój wielki przyjaciel
wyjdzie ku nam w nowej dyplomatów zbroi,
w której się urodzi współczesny heroizm.

(Gromada zdziwiona).

Scena 4.

(Z głębi parku podniesione i zapite głosy. BRUS, a z nim gromadka pijaków przechodzi mimo).

BRUS

Niech go zatopi, niech poniesie.
Niech se nim Bozia deski tnie!

JACEK

Gdzie tata będzie mieszkał?

BRUS

W lesie.

(Śmiechy grupy Minusa).

JACEK

Nie będzie tata grał!

BRUS

Odczepisz się?

KRAMARKA

Jak się to skół.

BRUS

Jak tam stoimy?

GRAJĄCY

Jesteście winni cztery złote.

BRUS

Masz. Za sześć ciągnę.

GRAJĄCY

Za sześć i my.

BRUS

Fuć.

GRAJĄCY

Wyjdzie stary stąd bez portek.

BRUS

Jeżeli zechcę, tartak sprzedam.
Kto mi zabroni?

JACEK

Ja ci nie dam.

BRUS

Ciebie pętaku wytnę w mordę!
Za stówkę sprzedam.

GŁOS

Chłop się upił.

KRAMARKA

A w domu nędza.

JACEK

Mówię tacie,
Tego tartaka nikt nie kupi.

BRUS

Za stówkę ciągnę.

GRAJĄCY

Forsę macie?

BRUS

O tartak zagram.

GRAJĄCY

E, nie gramy.

(Odchodzą).

BRUS

Nie uciekajcie, ja chcę grać!
Pięćdziesiąt złotych kto mi da?
Piędziesiąt złotych tylko brać.
Z ręki do ręki kto da?

(Wychodzi Minus we fraku).

MINUS

Ja!

GŁOSY

O!

JACEK

Pan nie kup'

MINUS

A dlaczego?

JACEK

Tartak zalany do pół wodą.

MINUS

A nasze ręce od czego?
Stawiamy groble.

GŁOS

Po co kłopot?

GŁOS

Co to wspólnego z naszą sprawą ma?

LULU

Co? Cierpliwości.

JACEK

To jest zwykła kradzież.
On jest pijany.

BRUS

Nie zaczynaj.
Niech pan na rękę forsę kładzie
I tartak pana.

KRAMARKA

Tartak syna.

(Minus wyjmuje pieniądze z kieszeni i płaci Brusowi).

MINUS

Przy świadkach płacę.

JACEK

Dobry panie!
Przecież to nasze!

BRUS

Psia twoja mać!

(Odwraca się nagle i uderza Jacka w brzuch nogą. Jacek zatacza się bez jęku. Kramarka podbiega do niego. Zebrani milczą. Grający odchodzą. Pędzi za nimi Brus).

Hej, Jakubiczek. Gdzieście dranie?
Hej Jakubiczek, ja chcę grać!

MINUS

Zawiał wiatr inny. Zmieniła się karta.
Dobry początek. Chłopcy. Mamy tartak.

—

On był pijany — to może być źle.
Jabym tak:..

MINUS

Pijany. Ale my, my nie!
Nam trzeba przegryzać to mięso żywota
do kości, do rdzenia, nam krwią się zakrztusić.
Moralnością klei gmach bytu idiota.
Do banku! Po złoto!

PLUS (zza sceny).

Minusie, Minusie!

Scena 5.

MINUS

Bies depcze po piętach.

PLUS

Znalazłem cię wreszcie.

MINUS

Widzę.

PLUS

Krzycz: zwycięstwo.

MINUS

Znajoma historia.

PLUS

Słowa przejdą po was elektrycznym dreszczem.
Znalazłem! Znalazłem!

MINUS (z ironią)

Posadę?

PLUS

Teorię.

(Tłumione śmiechy).

Myśmy jej szukali w foliałach uczonych,
porzuconych w mózgu ludzkiego piwnicach,
a ona kwitnęła we łzach na ulicy.

(Minus chce odejść).

Dokądże?

MINUS

Poeto! Od życia ukłony.

PLUS

Nie odchodź. Zbyt ciężka jest tej sprawy szala,
na której żywota cenę dzisiaj kładę.

MINUS

Niech się nikt nie dziwi. Mój brat nie oszalał.
Mój brat stracił tylko wygodną posadę.

PLUS

Znam ten chwyt. Posłuchaj. Mogłeś życie całe
odtrącać rozumu mego sny zuchwałe.
Lecz ostrzegam: jeśli dziś ręki nie podasz,
zginiesz ty i zginie ślepa twoja trzoda.

MINUS

Grozisz?

PLUS

Psów zgłodniałych przywodzić czeredzie,
ślizgać się jak żmija w dżungli sytuacji,
to nie znaczy jeszcze rozumieć i wiedzieć,
czemu i do jakiej prowadzisz ich stacji.

MINUS

Nie przeszkadzaj.

PLUS

Ludzie. Trza wam iść na noże!
Żaden program, żaden wódz was nie wyzwoli;
serca, ścierw polipem żywot wam obłożył!
Kto chce żyć, ten ścierwa musi wyciąć polip.

—

Partia mówi...

PLUS

Partia to wasze powrósło.

—

Kolektyw...

PLUS

Kolektyw: rzędy grusz na miedzach.

—

Mit...

PLUS

Nie macie mitu. Macie chytre gusla.

—

Pan więcej wymyślił?

PLUS

Wiedza! Wiedza! Wiedza!

(Wyraźne uśmiechy, wzruszenia ramionami).

Śmieszne. Bo nie kłamię, że świat się odmieni.
I nie obiecuję biblijnego raju.

—

Pomiędzy poezją a życiem jest przedział,
jak pomiędzy wiarą, a zgłodniałym ciałem.

—

Wiedza. Żryj pan wiedzę!

—

Mózg brzucha nie ścieni.

—

Trza tam iść. Robota!.

—

Co pan nam tu baje?

PLUS

A ty milczysz?

MINUS

Głos ci ludu odpowiedział.

PLUS

Głos ludu jest takim, jakim mieć go chciałeś.
Ale to nie oni. Ja Minusie wierzę,
że to krzyk rozpaczy. Że to nędzy powiew.
Że tam gdzie się kończy twa kreacja: zwierzę,
że tam się zaczyna mój rozumny człowiek.

(Do tłumu).

Chcecie, aby złotem sercem było złote.
Aby dobre słowo otwierało sklepy.
Aby jak powietrze, jak woda, jak ogień,
na niczyich ziemiach wolne rosły żyta,
aby się świadczyła jednym tylko Bogiem
miłości, wolności, snów rzeczpospolita.
Posłuchajcie. Dzisiaj, za chwilę, za chwilę,
zadrżą serca wasze jakimś rytmem nowym!
Przerwie tamy bytu marzeń mądry wylew!
Wypełni się słowo.
Oto ta teoria, która jednym palcem,
z łoskotem podziwu ócz rozewrze wrota:
Kres bagnu, kres nędzy, kres płaczom, kres walce.
Trza tylko, słuchajcie: spalić wszystko złoto.

(Poruszenie).

—

Szaleniec.

PLUS

To mówię ja ,bankowy kasjer,
który wydzierałem dziadom grosz ostatni,
który wiem co lichwa, grandy, defraudacje,
Wiem: parytet źródłem tej tragicznej matni.

MINUS

Dosyć.

PLUS

Nie przestanę. Zrozumieć musicie.
Trzeba wrzód ten wyciąć, a ożyje ciało.

—

Ten nieźle wymyślił. Spalić złoto dzisiaj,
dzisiaj, gdy czujemy jak go strasznie mało.

—

Budujemy wielki bytu gmach.

PLUS

A potem?

—

Wyruszą miliony do pracy.

PLUS

A potem?

—

Egzystencja nasza, żon, dzieci.

PLUS

A potem?

—

W dosycie starości doczekać.

PLUS

A potem?

—

Każdy musi umrzeć — śmierć.

PLUS

Dranie. A potem?

MINUS

Więc do tego zmierzasz. To co mózg mój scalił,
ludzkich, uporczywych, praw matematyką,
jednym słowem chciałbyś, poeto, rozwalić.
Jesteś tylko mięśni walczących muzyką,
a chciałbyś tym mięśniom, głupcze, rozkazywać.

Pod bank, nim bakteria poezji zdradliwa
atletycznych mięśni budowę uszkodzi.

—

Pod bank.

PLUS

Skoro sprawy tak daleko zaszły,
jeszcze jedno: aby stanął gmach, trza złota.

MINUS

Pociesz się: Za chwilę nasze będą kasy.

PLUS

Precyzyjna, chociaż łajdacka robota.
Na myśl ci nie przyszło tylko, że fanatyzm,
kradzież kluczy od kas mógł zaryzykować.

(Konsternacja).

MINUS

Ach ty psie. Mówiłem: on nie jest wariatem.
Ma klucze od banku.

—

Ukradł.

MINUS

Zrewidować!

(Obezwładniają Plusa, odbierają mu klucze).

Tu gdzie wchodzą w sprawę losy milionów,
niż teoria, sprawniej działa siła dzielna.
Byt mówi! Poezjo, rozsądkowi do nóg!

PLUS

Nie słowo cię zmoże. Maszyna piekielna!!

(Przerażenie).

MINUS

Nie jemu. Rozpaczy jego trza uwierzyć.
Myślał, że zwycięży, więc tak czas obliczył,
że możemy zdążyć. Poetyckie zwierzę!
W poemacie twoim rym ostatni: stryczek!

Scena 6.

(Wchodzi Rubinek z Zośką).

RUBINEK

Prosi dziaduś, prosi:
— Wrzuć do puszki grosik!
Bo i proste. Bo i czemu,
Miałbyś nie dać znajomemu.

(Patrzy znacząco Minusowi w oczy).

MINUS

Co to znaczy?

RUBINEK (pokazuje puszkę).

A to? W drogę panu włażę?
Pokornie przepraszam. Myślałem idiota,
że kogoś, kto stanął na dóbr ludu straży,
obchodzi ta wroga robota...

MINUS

No więc?...

RUBINEK

Rozmawiajmy tak jak kupiec z kupcem.
Dyskrecja kosztuje...

MINUS

Szpicel.

RUBINEK

Mówmy: świadek.

(Minus i Rubinek śmieją się znacząco).

MINUS

Zrobimy interes, bo pan nie jest głupcem.
Niech pan patrzy...

(Minus pokazuje Rubinkowi Plusa. Rubinek zdziwiony).

RUBINEK

A to szczególny przypadek.
Co za podobieństwo.

MINUS

Brat.

RUBINEK

Wiem. Niewygodny...
Tylko, że podwójnie musiałbym się trudzić...

MINUS

Wie pan gdzie Matczyna?

RUBINEK

A, ten tartak wodny...

MINUS

Zapłacę tam dzisiaj...

RUBINEK

Lubię mądrych ludzi.

Z kraju i ze świata

Min. Beck a sprawa Europy Środkowej

Sternik naszej polityki zagranicznej w wygłoszonym niedawno exposé zlekceważył znów ten najdonioślejszy problem. Zadziwiająca jest pasja i upór, z jakim ten inteligentny skąd inąd mąż stanu przeciwstawia się odwiecznym tradycjom imperialnym Rzeczypospolitej i zgodnemu przeświadczeniu całego narodu. Przecież dziś wszystkie niemal grupy, stronnictwa i organy prasowe w Polsce uznają pożyteczność i naglącą konieczność aktywnej polityki na tym terenie, zmierzającej do utworzenia bloku państw środkowoeuropejskich pod przewodnictwem Polski. Z jakiegokolwiek punktu widzenia oceniać będziemy trudności naszej sytuacji geograficznej i komplikacje jakie stąd wynikają, zawsze jedynym wyjściem z ryzykownej gry lawirowania i neutralności będzie dla nas ekspansja na obszar naddunajski.

Sprawa jest tym łatwiejsza, że interesy Polski i małych państw Środkowej Europy pokrywają się: dla nich oparciem jest Polska, jako najsilniejsza w ich zespole, dla nas znów oparciem w naszej polityce wielkomocarstwowej byłoby to 75-milionowe zbiorowisko narodów. My możemy być dla nich bronią przed naciskiem pangermanizmu i panrusycyzmu, oni mogą być dla nas podstawą i rezerwuarem sił w tej walce.

Niemcy, Włochy i Rosja od dawna prą w tym kierunku, próbując usadowić się nad Dunajem. Ale państwa środkowo-europejskie zawsze będą na nie spoglądać z nieufnością, jako na zbyt silnych patronów i sąsiadów, o typowo zaborczych apetytach. Nasze zadanie byłoby łatwiejsze: Polska jest dość silna, by stanąć na czele tych małych narodów, a zbyt słaba, by je podbić i wchłonąć.

Cóż zrealizowaliśmy dotąd z tych możliwości? Mamy wprawdzie sojusz z Rumunią i przyjazne stosunki z Węgrami, ale to zaledwie preludium. Trzeba rozbudować całą sieć przyjaźni i sojuszów, trzeba stworzyć swój własny system polityczny, wypierający zwolna z tego terenu obce rachuby i wpływy. Trzeba podjąć nad Dunajem i na Bałkanach świadomą i roztropną politykę konsolidacyjną. Małe państwa Europy Środkowej powinny krążyć wokół Polski, jak pla-

nety wokoło słońca, promieniującego na nie ideą i życiodajną siłą.

Oto „kopernikański przewrót“, jakiego potrzeba naszej polityce zagranicznej.

O reformę paktu Ligi Narodów

Genewa obraduje nad zmianą paktu Ligi Narodów. Impas, w jaki zagnała Ligę słabość i intrygi zakulisowe międzynarodówek, stał się nie do zniesienia. Dylemat: albo reforma paktu i procedury genewskiej, albo upadek tej instytucji, pięknej i pożytecznej w założeniu, a tak bardzo zdyskredytowanej. Można jednak przewidzieć z góry, że i obecne obrady nie dadzą żadnego pozytywnego wyniku. Aby uratować Ligę i skłonić do powrotu te mocarstwa, które z niej wystąpiły, trzeba by przeprowadzić następujące zasadnicze zmiany:

1. oprzeć pakt Ligi na fundamencie idei nadrzędnej i uniwersalnej, którą by mogły uznać wszystkie rządy i narody;
2. uwolnić Ligę od wpływów i intryg międzynarodowych mafij i komiwojażerów;
3. odebrać jej charakter jednostronnej zmowy przeciw państwom faszystowskim, przywracając jej powszechność;
4. zrezygnować z fantazyj o uczynieniu Ligi nadpaństwem, prowadzącym własną politykę i wyposażonym w egzekutywę;
5. wyrzec się sankcyj, tj. systemu nakazów i represyj, a traktować odtąd Ligę, jako instrument wyjaśnień i rokowań zbiorowych;
6. opracować nowy kodeks międzynarodowy, uwzględniający rozbudzone dążności posłannicze narodów.

Lecz nawet dopełnienie tych warunków nie dałoby gwarancji, że mechanizm Ligi będzie odtąd sprawnie funkcjonował. Tylko odrodzenie moralne ludzkości, pogrążonej w beznadziejnym chaosie pojęć i haseł, mogłoby tu pomóc. Przyszła Liga Narodów powinna się składać z delegatów Ciał Kierowniczych, reprezentujących w każdym państwie jego cel nadrzędny i misję dziejową.

Japonia, jej posłannictwo i jej imperializm

Błyskawiczne postępy wojskowe Japonii w Chinach zdumiały i zaskoczyły mocarstwa rasy białej, zaangażowane na Dalekim Wschodzie. W ciągu kilku miesięcy Japończycy opanowali 5 prowincyj Chin północnych, Szanghaj i Nankin, obecnie zaś posuwają się w kierunku Hankau, nowej siedziby rządu Czang-kai-szeka i biorą w kleszcze północną armię chińską, stłoczoną między Hoang-ho a Jang-tse-kiangiem. Jednocześnie flota japońska blokuje skutecznie wybrzeże, a 1/2 milionowa armia strzeże granic Mandżukuo przed nagłym atakiem krasnoarmiejców gen. Blüchera. Japonia unika narazie konfliktu z Wielką Brytanią, Ameryką i Rosją sowiecką, ale bynajmniej się go nie obawia. Wojna z Chinami kosztuje dużo ludzi i pieniędzy, ale nie jest dla Japonii czymś więcej, jak zakrojoną na dużą skalę ekspedycją karną. Widocznie miał rację min. Suetsegu, gdy mówił, że zasoby sił ekonomicznych i moralnych Japonii są większe, niż sobie świat wyobraża.

Ale p. Suetsegu powiedział również, że Japonia zna swoje posłannictwo i dopełni je, choćby miała rozpętać powszechną pożogę. A Japończycy nie lubią czczych deklamacji. Istotnie, utworzenie niezawisłej Mongolii i nowego rządu chińskiego w Pekinie, wskazuje wyraźnie, w jakim kierunku zdąża rząd tokijski. Japonia gotuje się do zmiażdżenia Sowietów, i to jest jej „mniejszy program“. Dlatego nie może ona pozostawić na lewej flance Chin, wrogich jej a zaprzyjaźnionych z Moskwą; konieczność polityczna zmusza ją do narzucenia Chinom paktu antysowieckiego. Ale jest i „większy program“: idea wyzwolenia Azji i wszystkich ras kolorowych z pod jarzma rasy białej. Pierwszym etapem do tego jest zjednoczenie rasy żółtej pod przewodnictwem Japonii. Blok czterech państw: Japonii, Chin, Mongolii i Mandżukuo, liczący razem do 600 milionów ludzi, ma być taranem wyzwoleńczym. Wielki to sen i wielki plan imperialny, zasługujący na szacunek. Zwłaszcza, że Japonia podejmuje go w imię pogwałconych imponderabiliów etycznych.

Głęboka intuicja moralna każe nam sprzyjać Japonii i widzieć wschodzące słońce nowej ery na jej sztandarach. Europie grozi upadek moralny i katastrofa cywilizacji. Rozgrom Sowietów przez Japonię mógłby ten ponury proces powstrzymać. Miecz samurajów japońskich staje się w tych warunkach coraz bardziej podobnym do rózgi Bożej, wymierzającej sprawiedliwość.

Powie ktoś może, że obowiązuje nas solidarność rasowa? Słyszymy już takie głosy od strony tych, których wszelki rasizm śmieszy zazwyczaj i oburza. Są jednak wyższe względy, niż pokrewieństwo krwi: tu idzie o ratunek prawdy i dobra. Zresztą japońska groźba, tkwiąca w krucjacie rasy żółtej, może być tylko błogosławieństwem dla Europy. Rasa biała ocknie się i odnajdzie swe zagubione posłannictwo dopiero pod mongolskim biczem.

Czy jest możliwe, by Japonia stała się azylem cywilizacji i sprawiedliwości? Wszak Europa przewyższyła ją o całe niebo w wytwarzaniu wartości duchowych. To prawda, lecz misja dziejowa Japonii polegać będzie na krucjacie karzącego miecza, a nie na krucjacie idej spekulatywnych. Poza tym nie można mierzyć Japonii miarą innych Azjatów. Ten intelektualistyczny i etycznie zdyscyplinowany naród wytworzył już na wstępie swych dziejów ideę uniwersalną państwa, uwieńczoną ideałami prawości obywatelskiej, bohaterstwa i poświęcenia. Ten geniusz państwotwórczy czyni zeń nowy Rzym Wschodu. Specyficzny feudalizm dźwignął go na poziom europejskiego średniowiecza. A z tego socjalno-politycznego podłoża wyłoniła się samorzutnie nawskróś współczesna mesjaniczność Japonii. Pod tym względem Japonia jest prawdziwą anomalią historyczną wśród ludów Azji. Europeizacja Chin przyniosła dziesięciolecia katastrofalnych wstrząsów. Japonia zmodernizowała się łatwo i sprawnie, co dowodzi ogromnej pojemności i elastyczności jej geniuszu narodowego. Wysoka samowiedza i ambicje dziejotwórcze, każą się spodziewać, że Japonia dorośnie do swego posłannictwa i do swych imperialnych planów.

Jedność i autorytet a rok 1863-ci

Z okazji rocznicy powstania 1863 r. dużo się w Polsce pisało o tej wspaniałej i tragicznej zarazem karcie naszych dziejów. Wskazywano słusznie na zdumiewające bohaterstwo i poświęcenie uczestników tej epopei, na upór, z jakim walczono przez półtora roku w najfatalniejszych warunkach z przemożną potęgą. Pośród wszystkich jednak refleksyj na temat powstania 1863 r. i jego cech charakterystycznych, brakło refleksji najważniejszej, a rzucającej światło na aktualne problemy polityczne.

Twierdzimy zgodnie, że na czoło spraw palących chwili obecnej, wybija się dziś w Polsce zagadnienie jedności i autorytetu. Dziwią nas trudności konsolidacji i wołamy o stworzenie autorytetu nadrzędnego, który by narzucił „linię generalną" i zogniskował rozstrzelone wysiłki, który by — jednym słowem — zamienił wieżę Babel w polską, zwycięską „wieżę Wawel". Rok 1863-ci jest doskonałą ilustracją daremności tych nawoływań. Jedność jest w Polsce postulatem niemal nieosiągalnym, chyba pod najwyższym ciśnieniem wydarzeń i w najwyższej temperaturze uczuć patriotycznych. Trudno wszak o większą ekstazę narodową niż lata 1861 - 63, ten wybuch mistycznej miłości ojczyzny i wiary w sprawiedliwość nadprzyrodzoną A jednak historia walk powstańczych to istny sabat demonicznych indywidualizmów, 90 proc. klęsk w roku 1863 było spowodowanych przez spontaniczną niechęć do kooperacji między oddziałami i partiami powstańczymi. Każdy z tych „führerów" szedł w 100 ludzi na cały carat i gotów był ponieść śmierć, byle go nie zmuszano do połączenia się z sąsiednimi grupami operacyjnymi, a już zwłaszcza do poddania się pod cudzą komendę. Więcej: każda niemal przegrana była następstwem nie stawienia się lub spóźnienia na plac boju któregoś z oddziałów współoperujących. „Chcę, żeby Czartoryszczyków tęgo przetrzepali" — oto klasyczny motyw, powtarzający się w stu wariantach. I drugi: „niech N... sam pokaże co umie". Rezultat: klęska, setki trupów, chwytanie i wieszanie przywódców partyj.

Tyle o jedności polskiej. A autorytet? Autorytetu się nie stworzy, on się sam rodzi i narzuca. Ale gdy powstanie autorytetu nadrzędnego w Niemczech, Włoszech, Francji nawet i gdziekolwiek indziej, jest sprawą ludzką, możliwą do osiągnięcia w warunkach naturalnych, to w Polsce jest to problemat nadludzki i niemal nadprzyrodzony. W r. 1863 nie wystarczyła do tego ani żelazna wola i rozum Wielopolskiego, ani popularność i rzetelność Zamoyskiego, ani rozmach koncepcyj, efekciarstwo i brutalność „dyktatora" Mierosławskiego. Autorytet miał Rząd Narodowy, jako całość, i to dlatego, że był niewidzialny, a więc osnuty legendą. Nie posiadł go człowiek poszczególny. W Polsce Mussolini byłby wygwizdany, a Hitler miałby stu konkurentów - besserwisserów (wypadek Piłsudskiego był — z pewnych względów — wyjątkiem i nie może być uważany za typowy). Dziś autorytet w Polsce ma armia — istność zbiorowa.

Ten szczególny charakter narodowy Polaków trzeba mieć na uwadze, gdy się myśli i mówi o stworzeniu jedności i o potrzebie autorytetu. Sądzimy, że przezwyciężenie tego jest niepodobieństwem. To też platforma jedności i źródło autorytetu może być w Polsce tylko jedno: idea. Idea bowiem nie jest człowiekiem, któremu by się zazdrościło i który by jątrzył polską niepohamowaną ambicję. Jej powszechność i bezosobowość pozwoli jej zapanować wszechwładnie (o ile n. b. nie będzie budzić podejrzeń, że ją „wymyślił" ten lub ów pojedyńczy człowiek, bo wtedy wieczyste polskie „dlaczego nie ja?" znów dojdzie do głosu). Ceterum censeo: w Polsce jest miejsce na ideokrację.

O Norwida myśliciela

Niedawno ukazała się na półkach księgarskich książka M. Piechala „O Norwidzie“. Ponieważ Piechal jest poetą i pisarzem o pewnych tendencjach społecznych, praca jego o Norwidzie szczególnie zaciekawia. Jest to bowiem pierwsza książka o Norwidzie wychodząca z kół młodego pokolenia pisarzy w Polsce. Z tego też względu jest ona niejako oficjalnym wykładnikiem „sądów“ ideowych tworzącej się Polski o jednym z naszych najwybitniejszych poetów-myślicieli. Praca Piechala nie jest monografią ale essay‘em, nie naświetla wyczerpująco całokształtu dzieła Norwida, ale podaje swoistą egzegezę niektórych źródeł twórczości Norwida oraz swoistą interpretację artyzmu i filozofii tego poety.

Oczywiście, jako essay ma on swoje zalety i wady. Sprzeczać się więc można od razu z Piechalem o hierarchizm rozpatrywanych zagadnień, o ważność tych czy innych poruszanych tematów. Piechal zamknął s p r a w ę Norwida w 10 szkicach: 1) Ideowe źródło twórczości Norwida, 2) Norwid wobec wypadków 1848 roku, 3) „Pieśń a praktyczność“, 4) Zasada oryginalności twórczej, 5) Norwid wobec Żydów, 6) Kobieta w życiu i twórczości Norwida, 7) Teoria czynu narodowego, 8) Mitologia piękna, 9) Norwid dawniej i dziś, 10) Wielkość Norwida.

Czy istotnie ta ilość „tematów“ o Norwidzie zaznajamia nas dokładnie z tym poetą jako artystą i myślicielem? Mniejsza o to. Chodzi o rzecz daleko ważniejszą: Piechal zadał sobie trud przedstawienia Norwida na tle epoki i ruchów społeczno - ideowych, wyłamał go jednak zupełnie z architektoniki polskiej myśli filozoficzenj XIX stulecia, to bowiem, co Piechal mówi na niektórych kartach swej książki o polskiej myśli narodowej XIX wieku i jej przedstawicielach, jest zaledwie na p o z i o m i e s e m i n a r y j n y m.

Oto próbka: „Krytyką współczesnego mieszczaństwa i głoszeniem haseł powrotu do form sielskich współżycia zajmowali się w Polsce z filozofów np. August Cieszkowski, Hoene-Wroński...“ (str. 43). Rad bym wiedzieć na podstawie jakiego dzieła i jakich danych twierdzi Piechal, że Wroński głosił hasła powrotu „do form sielskich współżycia“. Czy Piechal zna Wrońskiego „Odezwę do narodów cywilizowanych o zgubnym ich niełądzie rewolucyjnym?“ Czy zna teorię pracy i kapitału Wrońskiego? Jego matematyczne prawa ekonomii społecznej? Z góry mogę powiedzieć, że nie zna. Gdyby znał, nie uległby „wiatrologii“ na tym polu!

W innym miejscu rozpatrując powody nieuznania Norwida, zaznacza: „społeczeństwo poznało się jednak doskonale i oceniło tak wysokie umysły i tak subtelne artyzmy jak Chopin, Mickiewicz, Słowacki, Cieszkowski, Trentowski, Hoene-Wroński“. Czy miarą „doskonałego“ poznania Wrońskiego jest dla Piechala praca prof. Ujejskiego „O cenę absolutu?“ Jeśli tak, to współczuję społeczeństwu polskiemu!

Na tej samej stronie (186) Piechal tłumaczy powody niezrozumiałości i nieuznania Norwida: „Zarówno strona i d e o w a, a co za tym idzie i f o r m a l n a t w ó r c z o ś c i Norwida musiała wielkim twórcom naszego romantyzmu nie odpowiadać. Rozwiązania tej tajemnicy szukać należy w k l a s o w y m charakterze sztuki Norwida — innym sposobem rozwikłać jej niepodobna“. Piechal wypowiadający takie zdanie o najsubtelniejszym poecie-myślicielu polskim zdradza zupełną ignorancję filozofii narodowej XIX wieku. Piechal uległ tu infekcji marksizmu, który dopatruje się we wszelkich przejawach życia duchowego wpływu walki klas, doktryny społecznej z gruntu obcej psychice polskiej. Norwid, wypowiadający się wrogo przeciwko wszelkim ruchom rewolucyjnym, nie mógł tworzyć sztuki o charakterze klasowym. Nieporozumienie wynikło stąd, że Piechal nie zna polskiej teorii ruchów społecznych: t e o r i i ś w i a d o m o ś c i l u d z k i e j i jej rozwoju, t e o r i i w a l k i d w u t y p ó w ś w i a d o m o ś c i l u d z k i e j: z a c h o w a w c z e j i p o s t ę p o w e j, która to walka jest motorem historii. Oto cytat z Norwida:

I żal mi bardzo, was — o postępowi,
Którzy zniweczyć przeszłość chcecie całą,
By łatwiej było, lecz jako żółwiowi,
Orzec: „t a k w i e l e j u ż u b i e g ł e m z
(c h w a ł ą“.
Tylko że, aby drogę mierzyć przyszłą;
Trzeba koniecznie p o m n i e ć, skąd się wyszło;
I żal mi, żal mi was — o opieszali,
Którzy zniweczyć p r z y s z ł o ś ć — chcecie całą,
Podczas gdy wasza przeszłość w was — bo ciało —
przyszłością waszą, duchem, wciąż się pali....
(Niewola)

Nie przez charakter k l a s o w y swej sztuki, ale przez zrozumienie antynomii społecznej w myśl polskiej teorii rzeczywistości Norwid jest bliski naszym czasom, które powoli zaczynają rozumieć wielkie kreacje filozoficzne naszej myśli narodowej XIX wieku. W tym leży wielkość Norwida jako artysty, że duch jego okazał się p o j e m n y na zrozumienie prawd, które inny myśliciel polski ze szczytów historii jak płonące głownie rzucał w naród.

Nie mamy dostatecznych podstaw do twierdzenia, że Norwid nie znał tego, co w zakresie ducha i myśli wypracowywał naród polski w XIX wieku. Norwid sam przecież należał do pierwszej falangi twórców-budzicieli i twórców-rzeźbiarzy ducha narodowego w XIX wieku. Musiał śledzić ze szczególnym zajęciem wszystko, co w zakresie myśli spod piór polskich wychodziło.

A gdyby nie znał? Mógł samodzielnie przez nadzwyczajną, fenomenalną wprost pracę ducha dojść do tych samych rezultatów, do których dochodzi najwybitniejszy z przedstawicieli elity duchowej Polski w diasporze — Wroński. (W ogłoszonej przez Miriama korespondencji Norwida, znaleźć możemy słowa o Wrońskim, które świadczą, jak wysoko Norwid cenił Wrońskiego. Musiał więc znać jego dzieła). Wydaje mi się przeto, że wszelkie prace o Norwidzie będą mylne i niewyczerpujące tak długo, jak długo umysł polski nie stanie się pojemny na zdobycze polskiej myśli filozoficznej XIX wieku.

Cóż ta myśl głosiła?

Oto idee filozofii narodowej: w zakresie religii — odrodzony, dynamiczny katolicyzm, s p e ł n i o n y c h r y s t i a n i z m w oparciu o teorię filozoficzną o s o b o w o ś c i (p e r s o n a l i z m u), w zakresie idej społecznych — t e o r i a ś w i a d o m o ś c i l u d z k i e j i j e j r o z w o j u, a nie walki klas, czyli ruchu dialektycznego materii uspołecznionej; w dziedzinie pojęć o narodzie — i d e a m i s j i d z i e j o w e j n a r o d u k u l m i n u j ą c a w i d e i — m e s j a n i z m u, lecz nie pseudo - mesjanizmu mistycznego Mickiewicza i sektanta Towiańskiego, ale tego, który wypracowała „stricto sensu“ myśl filozoficzna polska.

Oto złote nici myśli norwidowej. Zachodzi ścisła k o i n c y d e n c j a (mniejsza o to czy świadoma, czy nieświadoma) twórczej pracy artystycznej Norwida z twórczą pracą filozofów polskich XIX wieku. Kto tego nie pojął, nie napisze dobrej pracy o Norwidzie. Ten może wypowiadać takie nieuzasadnione zdania: „Norwid, dosłowny gracjalista magnaterii polskiej na emigracji, był typowym przedstawicielem drobnomieszczaństwa wśród naszej elity umysłowej XIX wieku“. (139). Tymczasem w świetle idej polskiej filozofii sprawa przedstawia się zgoła inaczej.

Profetyczny charakter sztuki Norwida, jej zasięg myślowy typuje go na przedstawiciela całego narodu i przydaje jego sztuce charakter w o d z o s t w a, co coraz bardziej odkrywa współczesność polska. W tym właśnie leży wielkość Norwida, a nie w jego tych czy innych zbieżnościach czy przeciwieństwach z „teorią walki klas“, teorią mu wstrętną i obrzydliwą.

Z ducha religii i spełnionego chrystianizmu wynika Norwidowa akceptacja idei grzechu pierworodnego i odkupienia przez pracę: „praca — zguby szukaniem“, ale praca nie ma bynajmniej na celu przyjścia epoki „raju ziemskiego“, lecz odrodzenie i kształtowanie ducha dla jego celów poza ziemskich. Norwid przyjmuje naczelną trójcę ideologii chrystianizmu i mesjanizmu polskiego: Prawdę, Dobro i Piękno i w realizacji tych idej jest bezkompromisowy. Każdy utwór jego, to dokument nieustannej realizacji przez c z y n twórczy tych idej.

Ciekawe przecież i nad wyraz charakterystyczne jest stanowisko Norwida wobec haseł rewolucji francuskiej (owego tryptyku masońskiego jak byśmy dziś powiedzieli): braterstwa, wolności i równości. Norwid — bodaj jedyny w sztuce polskiej — poddaje krytyce te hasła wojującego demokratyzmu, przeciwstawiając im chrześcijańskie sformułowanie:

A przez wiarę tylko w Boga
R ó w n o ś ć jego synów,
A przez miłość tylko droga
Do b r a t e r s t w a czynów.

Wolność jest to w s z e c h - u ż y c i e
W s z e c h p o t ę g i b y t u;
I dlatego to widzicie,
Że z a w s z e u s z c z y t u.
(Pieśni społecznej cztery stron)

Nie będę gromadził cytatów na potwierdzenie prawdziwości moich sądów o Norwidzie, miałbym ich pod dostatkiem. W retrospektywnym rzucie książka Piechala nie ma miejsca na tego rodzaju pracę. Trzeba to zrobić gdzie indziej i w innych okolicznościach.

Pracę Piechala cechuje minimalizm filozoficzny. Piechal, nie orientujący się w filozofii narodowej XIX wieku, ani w osiągnięciach ideowych mesjanizmu (tego istotnego a nie fałszywego: Mickiewicza i Towiańskiego), pisząc pracę o Norwidzie nie mógł należycie wyświetlić fenomenu dziejowego, jakim była w dziedzinie sztuki polskiej twórczość Norwida. Piechal oscyluje około tego fenomenu, niejednokrotnie podchodząc tuż, tuż w pobliże p r a w d y Norwida, ale nie umie i nie może jej w zupełności wyświetlić i poznać. Docieranie w pobliże tej prawdy jest raczej zasługą Piechala-poety, a nie Piechala-krytyka, jest zasługą jego intuicji twórczej jako poety, a nie zasługą myśli krytycznej jako myśliciela.

Norwid jest jeszcze dotychczas w Polsce poetą Jutra. Czas jego przyjdzie wtedy, gdy umysły oświeconych Polaków staną się pojemne na problemy filozofii narodowej XIX wieku.

Bez znajomości gruntownej „szczytów“ myśli filozoficznej polskiej, nie może być znajomości „szczytów“ sztuki Norwida. Oto aksjomat, jaki wyłonił mi się przed oczyma, gdy przeczytałem pracę Piechala, która skądinąd ma duże zalety i wyróżnia się poziomem zrozumienia Norwida wśród dotychczasowych prac o tym poecie.

Mimo ten poziom, problematyka książki Piechala podchodzi zaledwie do podnóża „szczytów“ myśli filozoficznej polskiej.

Jasność jednak i blask, jaki pada na nią z tych szczytów, przydaje jej rumieńców życia i zaznacza p r z e c z u c i e m p r a w d y, a to już w dzisiejszych czasach jest wiele — jest p o s t ę p e m w stosunku do Norwida.

Antoni Madej

Wśród książek

Stanisława Brzozowskiego Dzieła wszystkie pod red. Artura Górskiego i Stefana Kołaczkowskiego. Tom 6. Opracowali J. i B. Suchodolscy. W-ctwo Instytutu Literackiego. Warszawa 1936. — Tom 8. Opracował Karol Irzykowski. Tamże 1937.

O Brzozowskim wiele się pisało. J. Braun dał o nim — poza dorywczymi recenzjami i artykułami — całą monografię. Toteż z okazji ukazania się dwu dalszych tomów wydania zbiorowego, damy tu dzisiaj jedynie notatę czysto informacyjną.

Tytuł tomu VI brzmi: W s p ó ł c z e s n a p o w i e ś ć i k r y t y k a. A r t y k u ł y l i t e r a c k i e. S t u d i a o W y s p i a ń s k i m. Oto pobieżny przegląd treści: Kilka słów z teorii powieści. Sienkiewicz, Prus Orzeszkowa, Powieść mieszczańska, Reymont, Ign. Dąbrowski, Berent, Przybyszewski, Irzykowski, Żeromski, Korczak, Sieroszewski, Współczesna krytyka literacka, Artykuły literackie, Wyspiański, Wyspiański o „Hamlecie“, Budowniczy dumy narodu, etc.

Poza Hoene - Wrońskim, u żadnego myśliciela polskiego nie znajdzie się tak silnie wyrażonej idei twórczości i samotwórczości rozumu ludzkiego. Oto np., jak Brzozowski ujmuje zagadnienie Rzeczywistości:

„Najogólniejszy wynik filozofii krytycznej polega na rozumieniu, że cały świat, w jakim żyje człowiek, sprowadzony być może do naszych zadań. To, co ludzkość uważa za rzeczywistość, jest zawsze albo zadaniem, postawionym przez jej życie, albo usiłowaniem rozwiązania go i dopełnienia; albo wezwaniem do twórczości, albo twórczością samą. Rzeczywistość, ujęta w ramy i prawa naukowego poznania, jest sumą rozwiązanych przez ludzkość zadań. Rzeczywistość, przedstawiająca się w formie niewytłumaczonych dotychczas faktów, jest dziedziną zadań, które dopełnienia swego, rozwiązania domagają się dopiero. Nigdy i nigdzie myśl ludzka nie styka się z niczym, co nie byłoby czynem jej, bądź rzeczywistym i spełnionym, bądź możliwym. Nic nie przedstawia się nam w formie nagiego, niezmiennego bytu. Wszędzie i zawsze mamy do czynienia z działaniem własnym, pracą“.

O człowieku:

„Jeszcze nie było człowieka. On dopiero będzie, i czym zechce, tym się uczyni, a dzisiaj się rodzi we krwi."

O jaźni:

„Jaźń nasza jest formą, w której żyje i do równowagi zdąża nieskończoność tworzenia. W każdym czynie swym i każdym sądzie zachowujemy się tak, jak gdyby nieskończoność ta zamknięta została i określona raz na zawsze, zachowujemy się tak, jak gdyby cały świat był tym, za co my uznajemy go w swym czynie".

O moralności:

„Uważam za rzecz absolutnie pewną, że wszystko, co istnieje dla człowieka, istnieje jako pewna dodatnia lub ujemna wartość, że, słowem, nie ma w jego życiu żadnego pierwiastka nie pozostającego w pewnym stosunku z jego wartościującym ja. Moralność jest nie pewnym objawem duszy ludzkiej, lecz nią samą".

Warto też przytoczyć urywki charakterystyk niektórych sławnych naszych pisarzy:

„Kiedyś, gdy ocena treści i zrozumienie obiektywne wartości dzieł stanowić będą o miejscu wyznaczanym pisarzowi w historii piśmiennictwa, zrozumianym zostanie, że Prus był najwybitniejszym powieściopisarzem naszym drugiej połowy XIX wieku".

Znany jest nadzwyczaj ujemny sąd Brzozowskiego o Sienkiewiczu .Oto m.in., co o nim czytamy w omawianym tu tomie:

„To, co ludzkości życie stanowiło, jej cała krwawa praca, jest dla nas rozrywką. Sienkiewicz skodyfikował, nadał kształt estetyczny temu naszemu stanowisku. Jest on klasykiem polskiej ciemnoty, szlacheckiego nieuctwa. Przez niego żyje w formie artystycznie skończonej, aż do czasów naszych saska epoka naszej historii. Cały tragizm dziejów polskich, cała nieskończoność ofiar, poświęceń, zniesionych i znoszonych upokorzeń prześlizgnęły się po tym człowieku. Jakoś to było, jakoś to będzie — z tym hasłem wysunął się on na czoło tak zwanych historycznych warstw".

Wysoce zaszczytną rolę wyznacza nasz autor Orzeszkowej:

„Orzeszkowej przypada niewątpliwie jedna wielka zasługa. W powieściach jej sumienie narodu jest nieustannie obecne. Uczyniła ona z niego towarzysza wszystkich tych chwil, które spędzamy z jej książkami. Stworzyła dla społeczeństwa polskiego środowisko moralnej mocy".

O Reymoncie:

„Na próżno więc szukać u niego syntezy myślowej, naukowej Prusa, lub etycznej powagi Orzeszkowej. Reymonta nie wiąże z nikim i z niczym żaden uczuciowy węzeł. Jest on miejscem, przez które przechodzą wrażenia".

Bezwład i niemoc psychiczną upatruje Brzozowski w Ignacym Dąbrowskim:

„Człowiek (ten) nie dlatego współczuje z innym, że z nim razem walczył, lecz dlatego wprost, że widzi cierpienie. Infirmerskie braterstwo w bólu zamiast prometeistycznego stopienia w ogniu walki. Taką jest skala twórczości Dąbrowskiego, bardzo wąska, bardzo uboga, ale niewątpliwie rzeczywista... Ten rodzaj szpitalnego egoizmu, zasklepienie się w kalectwie jest jedną z form kulturofobii, właściwej naszemu społeczeństwu".

O Żeromskim:

„Żeromski pojmuje wszystko jako utracone, nawet konflikt. Nie może być świadomością stającego się nowoczesnego człowieka, choć miał w s o b i e nieskończenie wiele elementów, na to potrzebnych".

Tom VIII: L e g e n d a M ł o d e j P o l s k i. Studia o strukturze duszy kulturalnej. — Nasze j a i historia, Kryzys romantyzmu, Polska zdziecinniała, Mity i legendy, Duszy nie potrzeba!, Wyprzedaż starych zabawek, Polskie Oberammergau, Rozbrojenie duszy, „Nieboska" dni naszych, Naturalizm, dekadentyzm, symbolizm, Humor i prawo, Dusza samotna, Czciciele tajemnic, Sam na sam z klęską, Stanisław Wyspiański, Uzupełnienia.

Z tomu tego przytoczymy bardzo charakterystyczny urywek, dotyczący doniosłej kwestii filozoficznej, naprawdę rozwiązanej dopiero przez Wrońskiego.

„...To nie znaczy, żebym ja twierdził, jak to zdaje się myśleć o mnie p. Józef Kotarbiński, że człowiek czy ludzkość wymyślili czy wytworzyli morze itp. Czym jest morze poza ludzkim wzrokiem, wrażliwością, wzruszeniowością, intelektem, doświadczeniami naszych instrumentów itp.— to może wiadome jest p. Kotarbińskiemu; dla mnie jest pewne, że nie ma w tym kompleksie zbiorowego ludzkiego doświadczenia, oznaczanym mianem morza, żadnego okrucha treści nie nabytej przez ludzki gatunek w jego biologicznej i dziejowej walce. Rozpatrywanie nawet tak „zmysłowo pewnych" kompleksów, jak morze, las, pole etc., jako wytworów ludzkiego współżycia, jest niezbędne właśnie w krytyce i historii sztuki"...

W tomie tym wielokrotnie jest mowa o Wrońskim.

Cz. J. K.

Stanisław Chorzemski: Zdrowi chorzy

Poznań, Nakład M. Arcta.

„Chciałbym pomóc tym, którzy cierpią" pisze na końcu swej niezwykle ciekawej pracy „Z d r o w i C h o r z y", jeden z pierwszych chyba polskich psychoanalityków — S t a n i s ł a w C h o r z e m s k i. Praca jego nosi charakterystyczną, tak rzadką obecnie dla rozpraw naukowych cechę głębokiej, rzetelnej troski o bliźniego, owej m ą d r e j dobroci, powodującej, że książkę czyta się jak serdeczny list kogoś bliskiego i bardzo nam oddanego, dzielącego się z nami, w pewnej poufałości, swym dużym życiowym doświadczeniem, popartym głęboką wiedzą oraz umiejętnością podawania jej w formach popularnych, a bynajmniej nie zwulgaryzowanych.

„Zdrowi chorzy" to książka ciekawa nie tylko ważką treścią, ale również formalnym jej przeprowadzeniem. Założenie autora stanowi popularny wywód psychoanalizy, przeznaczony raczej dla zapoznania ogółu z podstawowymi jej stwierdzeniami. Chorzemski nie czyni tego wprost, od samego początku podając rozliczne jej definicje i twierdzenia, lecz przeciwnie, pośrednio wprowadza nas w jej krąg, analizując zjawiska psychiczne czysto życiowo, a dopiero ostatnie rozdziały jego pracy wiążą te „ustalenia po drodze " w jedną całość systemiczną. Wywód swój przeprowadza niezmiernie żywo, z temperamentem, przekonywująco, oraz, co dla książki tego rodzaju specjalnie ważne, z dużą dozą wspomnianej już, rozważnej dobroci, niemal poufałej serdeczności w stosunku do czytelnika, z którym dzięki temu wchodzi w intymny kontakt, rzeczywiście oddziałując nań psychicznie w pozytywnym kierunku, głównie w sensie jakiegoś psychicznego „spojenia", pokrzepienia, drogą ukazania wielkich, a niewykorzystanych możliwości psychiki ludzkiej.

Siłę pracy Chorzemskiego stanowi fakt, że autor, wychodząc z samych podstaw, z pierwszych założeń psychoanalizy, nie rozszerza zbytnio jej zakresu, co mogłoby go wpędzić w konflikty z poszczególnymi rozwinięciami doktryny, ale w oparciu o te podstawy, sam snuje logicznie wątek rozważań, przezornie ograniczając się do pewnej, dość zresztą obszernej sumy wskazań o charakterze raczej praktycznym, Nie znaczy to jednak, aby spro-

wadzał się do ciasnych ram jednostronności. Owszem, na marginesie swej pracy czyni wiele spostrzeżeń nieco luźniej z nią związanych. Do zasadniczych tych uwag należy przede wszystkim kapitalne stwierdzenie—mówiąc popularnie—przewagi ducha nad materią, recte nad ciałem człowieka, i to przewagi tak wyraźnej, że aż czasem nie do uwierzenia; podkreśla dalej niespożyte znaczenie dla rozwoju swobodnego człowieka, ba nawet dla życia i zdrowia jego, aktywności psychicznej, która wszędzie jest zresztą beniaminkiem jego rozważań. Trafnie rozróżnia też Chorzemski w człowieku współistnienie dwu jakby warstw: „człowieka kultury", oraz pierwotnego (dosłownie) „jaskiniowca", których kompenetracja wzajemna, a raczej ujarzmianie „jaskiniowca" przez owego „człowieka kultury" daje wypadkową działań i poczynań ludzkich na szlaku od zdeterminowania (bios) do wolności (logos). Wreszcie daje autor pracy swej silny węzeł systemiczny w postaci powiązania psychologii indywiduum z psychologią powszechności, oraz wykazuje ich wpływ wzajemny.

Czytając „Chorych zdrowych", ustawicznie czyniłem marginesowe uwagi: „spowiedź" oraz „sztuka", bowiem rozważania te logicznie domagały się rozwinięć i w tych perspektywach. Ku miłemu rozczarowaniu obie te kwestie znalazłem poruszone w końcu książki.

Jeżeli chodzi o spowiedź, to psychoanaliza („ostatni krzyk" nauki!) stanowi niewątpliwie i poza wszelką dyskusją, potężną afirmację (oczywiście od strony psychologicznej, nie — absolutnej) tej odwiecznej instytucji. Tu też wywód Chorzemskiego nie budzi wątpliwości. Gorzej (i to jedyny, ale poważny zarzut) przedstawia się sprawa sztuki.

Należy rozróżnić dwa rzędy zasadnicze: metafizyczny (religia, filozofia, sztuka), odnoszący się do dziedziny celów, oraz fizyczny (aż do nauk i psychologii włącznie) — dziedzinę środków jakimi na zewnątrz manifestuje się myśl czysta sama dla siebie. Nauki mają to do siebie, że ich przedstawiciele (nawet najwybitniejsi) pod wpływem sukcesów odkrywczych, niejako w rozpędzie, wybiegają poza ich ramy i podporządkowują ich prawom dziedziny zupełnie obce. Tym „zajazdom" najczęściej ulega teren (co za pech!) metafizyki. Niedawno buszowała w jej granicach fizyka. Obecnie sygnalizujemy najazd logiki i psychologii. Nie uchronił się przed tym i Chorzemski. „Wylot" psychologiczny sztuki, a więc jej aspekt podrzędny, podniósł do godności źródła. Pisze o tym parokrotnie, opierając się na przykładzie Wertera i Gustawa. Dominantę zaś stanowi tu zdanie następujące: „poezja tak jak każda manifestacja przedstawia nam tylko usiłowanie uwolnienia się od kłopotów ze swymi kompleksami". Z innych zdań książki wynika, że kompleksy te, zdaniem autora, są przede wszystkim natury czysto-osobistej, (zawody miłosne itp.). Rozpatrzmy to zdanie właśnie na terenie i metodą psychoanalizy. Weźmy przykład Gustawa. Niewątpliwie kompleks jest. Ale oto na str. 45 książki dowiadujemy się, że aby go rozwiązać, należy zrobić pisemne czy ustne t.zw. „psychologiczne resumé", wyzwalające kompleks z podświadomości. Jeżeli więc Mickiewicz czy Goethe tego resumé dokonali w Gustawie czy Werterze, kompleks został jednorazowo rozwiązany i twórczość ich, logicznie biorąc, na tym powinna się skończyć. Zresztą, równie logicznie biorąc, psychoanaliza nie da nam bynajmniej ciągłego przejścia wprost od Gustawa do Konrada (a contrario zaś przejście takie jest nie do pomyślenia).

Myślę, że ażeby nie uzależniać błędnie sztuki od psychologii, związek ich należało by sformułować szerzej: samorzutna wiedza (kategoria metafiz.) spotęgowana w ludziach tej klasy, przy braku możliwości realizacyjnych (na zewnątrz), powoduje w artyście powstanie zatoru, kompleksu. Dzieło sztuki, jako realizacja symboliczna (resumé), dany kompleks rozwiązuje. W ten sposób metafizyczne źródło sztuki nie może ulegać dyskusji. Kompleks psychologiczny stanowi tu wyłącznie indywidualny bodziec (już w klasie raczej środków). Gdyby bowiem nie było w artyście napięcia sił twórczych (owej samorzutności wiedzy), nie powstałby wogóle zator, kompleks.

Piękna książka Chorzemskiego daje to, czego brak współczesnemu człowiekowi myśli: uzasadnioną ufność we własne siły i spotęgowanie aktywności psychiki.

A to wiele.

M. Starost

Redakcja i Adm.: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.